Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 31 sierpnia 1952 r. | Nr 35 (127) Rok III

PISARZE — DO AKCJI WYBORCZEJ!

W tydzień po oddaniu ludności Warszawy Placu Konstytucj na MDM-ie, w licznym gronie działaczy kulturalnych jeden z kier i- ków Filmu Polskiego, relacjonując o najbliższych premierach, lnie- dział, że m. in. publiczność nasza ujrzy wkrótce kolorowy h e. o- r y c z n y film o MDM-ie i demonstracji lipcowej na Placu łem - stytucji. Żaden z obecnych nie usiłował sprostować tego stwie nikt się nie uśmiechnął, wszyscy zaaprobowali słuszność takie prz tego, co się działo w Warszawie zaledwie przed tygodniem. inż.

W okresie ośmiu lat po wyzwoleniu przebyliśmy olbrzymi sz spodarczego i kulturalnego rozwoju, jakiemu nie ma równego nazw jach narodu polskiego.

Nie była to droga łatwa. Było wiele śmiałych planów, by trudów, było wiele wyrzeczeń. Nie brakło na tym szlaku i o siące robotników i chłopów poległy już po zakończeniu działań nych. W tej walce, w tym wielkim boju klasowym nie po wskazać ani dnia, ani godziny, w której by rozgromiony wróg za usiłowań, aby nadzieleńcom odebrać ziemię, a ludowi pracując bryki, bowiem nie masz takiej chwili w toku walki klasowej.

Nie brakło w tej walce pisarzy polskich. Część z nas uczestni w niej świadomie, inni uczestniczyli w niej przez sam fakt po trudu tworzenia nowych dzieł dla czytelnika, który po raz pi w dziejach naszego kraju sięgnął po drukowane słowo. Odnosty zwycięstwa — i były one nieodłączne od rewolucji, od zwycięst rodu, któremu przewodzi nasza bohaterska i sławna klasa robo i jej Partia. Popełnialiśmy również błędy, mieliśmy trudności, al dów i trudności nie ma tam jedynie, gdzie istnieje zastój, ma martwota. Nawet ci spośród nas, którzy nie od razu pojęli wi i sens dokonanej rewolucji musieli się przekonać do wyników re cji: ujrzeliśmy nowe szkoły, nowe biblioteki, nowe czytelnie, uj my wzrost czytelnictwa na miarę niespotykaną do tej pory, uj my nowe szpitale, żłobki, nowe zakłady drukarskie. Najokazalsz kale, najpiękniejszego w Polsce placu — Placu Konstytucji o zostały nowym księgarniom.

Mówię z rozmysłem o t y c h tylko zjawiskach, bowiem w jach naszej literatury właśnie brak oświaty, brak szpitali, książek, brak opieki — zawsze dawały pisarzom polskim powo troski. Konopnicka, Sienkiewicz, Dygasiński, Orzeszkowa, Prus, O Żeromski stawali bezradni wobec zjawisk niedoli, przerażeni czę załamując ręce wobec zagadnień zdawałoby się nierozwiązal nych A przecież te nie dające się — w ich pojęciu — rozwiązać kwe stie nie stanowiły jeszcze istoty sprawy, sprawy większej, której pochodnymi były, a której na imię było: ucisk klasowy i narodowy. Dopiero my, nasze trzy żyjące pokolenia pisarskie stały się świadkami objęcia władzy przez lud, który w walce, w trudzie, w wyrzeczeniu konsekwentnie rozwiązuje wszystkie zagadnienia, każące niegdyś pisarzowi polskiemu kornie chylić głowę w bezradności, załamywać ręce w rozpaczy i — jakże często! — szukać ratunku w utopijnej wizji.

Byliśmy świadkami, a jakże pragnąłem uniknąć tego słówka: świadek. Bowiem w okresie tych ośmiu lat pisarz polski był czymś więcej niż świadkiem. Widzieliśmy likwidację analfabetyzmu i nie działo się to bez naszego udziału: byliśmy na budowlach i nie brakło tam naszego słowa, widzieliśmy wieś wyzwoloną ze zmory nędzy, głodu i bezrobocia i towarzyszyliśmy wsi w pochodzie ku lepszemu jutru. Mieliśmy powody do radości, do dumy, lecz mimo to zapytywaliśmy często siebie samych, czy nie stać nas było na większy wysiłek, na lepsze, dojrzalsze dzieła, które by były nie tylko świadectwem tych przełomowych lat, lecz również orężem, bronią mas pracujących w codziennym trudzie budowy.

W okresie najbliższych tygodni fala życia politycznego w Polsce wzniesie się do wyżyn do tej pory niespotykanych. Okres kampanii wyborczej, kiedy to naród decydować będzie, kto go ma reprezentować w najwyższym przedstawicielstwie i przedstawicielstwo to wybierze, będzie okresem aktywizacji mas pracujących w mieście i na wsi, i dlatego w akcji tej nie może zabraknąć pisarzy polskich. Nasi czytelnicy czekają na nasze słowo, na naszą pomoc, na nasz udział w dyskusjach, w rozmowach, w polemice, w agitacji.

Udział nasz w kampanii wyborczej jest potrzebny dlatego, że odbywa się ona w toku zaostrzonej walki klasowej, ponieważ jest to rozprawa z wrogiem klasowym, z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym, który nie zrezygnuje z podstępnej, skrytej, zjadliwej, zamaskowanej i często otwartej walki z siłami, które go pozbawiły ziemi, fabryk, władzy.

Nasz udział w kampanii wyborczej jest potrzebny, ponieważ w jej toku zacieśnia się jeszcze ściślej łączność miasta ze wsią i nasze słowo winno pomóc w scementowaniu więzi, pracujących partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących, ale zespolonych jedną myślą, jednym pragnieniem, jednym wspólnym dążeniem — wzmocnienia potęgi państwa.

J a k o pisarze uczestniczyć będziemy w pracach Komitetu Frontu Narodowego, j a k o pisarze będziemy uczestniczyli w akcjach prasy i radia, j a k o pisarze będziemy występowali na wiecach w fabrykach, na wsi, na uczelniach, j a k o pisarze będziemy zasiadali w komisjach wyborczych obok tych, którzy razem z nami pracują dla ojczyzny, j a k o pisarze, posiadający zaufanie, serca i uczucia tysiącznych rzesz czytelniczych kandydować będziemy do Sejmu, bo i na tym polega sens dokonanej i utrwalonej rewolucji, że pisarze, a więc ci, którzy kształtują umysły i serca, którzy potrafią dawać wyraz wzniosłym uczuciom, wielkim porywom, pobudzić do aktywności, wzniecić płomień patriotyzmu i umiłowania ojczyzny — ci będą wspólnie z masami pracującymi wpływać na kampanię wyborczą, na jej przebieg i wynik ostateczny.

Potrzebna będzie w tej kampanii nasza piękna mowa ojczysta, słowo celne, trafne, wyszydzające, umiejętnie godzące w zamaskowanego wroga i kpiące z ciemnego obskuranta; potrzebna będzie piękna, porywająca wzniosłość polszczyzny, ukazującej wielkość naszego narodu i ojczyzny, bo któż to jeszcze potrafi tą mową tak umiejętnie posługiwać się jak pisarz polski?

Było kiedyś prawem i nakazem polskiego pisarza, jego misją szlachetną litować się nad niedolą, czule schylać się ku uciemiężonym, by ich dźwigać, pomagać, okazywać miłość. Dziś, uciskanym dawniej, nie potrzebna litość, stali się twórcami własnego losu, ale dziś, jak nigdy, obok uczucia miłości do własnego narodu potrzebne jest uczucie wielkiej płomiennej nienawiści do tych, co nam stają na drodze, do imperializmu, do wrogów ludu, do tego wszystkiego co nam przeszkadza. I tylko w gotowości walki, jedynie w pełnej świadomości, że masy pracujące nieustępliwie bronią i bronić będą swych zdobyczy w ogólnym, krzepnącym froncie obozu pokoju — udział pisarzy w kampanii wyborczej odniesie całkowite wyniki.

Osiągniemy zamierzone wyniki wówczas zwłaszcza, gdy pisarz przemawiający lub piszący o sprawach swego terenu ukaże przeszłość regionu i skonfrontuje ją z teraźniejszością. Jednakże pisarz potrafi dokonać jeszcze czegoś większego: potrafi ukazać perspektywy rozwoju swojego terenu, potrafi ukazać stające się rzeczywistością marzenia i pragnienia, które się rodzą na realnym gruncie zmienionej struktury gospodarczej, politycznej i kulturalnej naszego kraju. Dzieła naszych wielkich Zmarłych, które się ostały w ogólnonarodowym dorobku kultury ostatniego półwiecza, często traktowały o wsi. Tam widzieli nasi twórcy źródło nędzy, zacofania, ciemnoty, tragedie, wyzysk. Władza ludowa oddała biedocie wiejskiej ponad 6 milionów ha, ponad dwa miliony ludzi wyszły ze wsi i znalazły pracę w przemyśle, dalsza zaś szybka rozbudowa naszego wielkiego przemysłu jeszcze bardziej przyśpieszy proces wyrywania wsi z resztek ciemnoty i zacofania.

Spotkamy się w naszej akcji z wystąpieniami wroga i trzeba będzie mu odpowiadać, trzeba go będzie demaskować, ukazywać źródła inspiracji, które są źródłami zdrady narodowej. Zetkniemy się z przejawami szowinizmu i nacjonalizmu, spotkamy się z prowokatorem.

Wszystkie nasze wystąpienia, wszystkie nasze artykuły, wiersze, reportaże, opowiadania, słuchowiska, satyry, które powstaną w najbliższym okresie, będą więc podporządkowane tej funkcji politycznej, jaka wynika z sytuacji międzynarodowej i krajowej i dlatego bojowość, ostrość, nieustępliwość musi stać się cechą naszych utworów.

Pisarze — do akcji wyborczej!

Stanisław Wygodzki

Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Sopocie Biblioteka Główna

A N D R Z E J K I J O W S K I

Na poligonie trzeba strzelać

Rozmowy literatów i dziennikarzy polegają zwykle na opowiadaniu sobie różnych historii przeplatanych westchnieniem:

— Gdybym miał czas!... Przecież historia, którą wam opowiedziałem, to prawie gotowa powela, a może nawet powieść?

Jest w tym trochę kokieterii: każdy chce zaprezentować swoją spostrzegawczość, swoją wrażliwość, inwencję — swoją „znajomość życia". Ale jest też szczery, choć naiwny niepokój: żyjemy — mówi się — w wielkich czasach, w czasach wielkich problemów i wielkich konfliktów, w czasach wielkiej historii — trzeba więc patrzeć i czuć, ażeby naszej spostrzegawczości i wrażliwości nie wyminęły te wielkie konflikty i problemy. Stąd wstał mit „terenu" — „teren" to jakby wielki jakiś poligon, na którym dzieje się „to" wszystko. Tam się kłębią te wszystkie tyle konflikty, tam się właśnie dzieje ta cała wielka historia. W porządku, koledzy! Książki, gotowe materiał książki leżą na ulicy, tylko zebrać.

Tymczasem w „terenie" nie ma książek. Jest życie. I oto dziennikarz czy literat przeżywa przykre zderzenie z terenem:

— A walka klasowa tu u was ostra? — pyta „człowieka z terenu".

— Iii, u nas — panie — ludzie spokojni... — odpowiada „człowiek z terenu".

Życie — to znaczy — jest wszystko to co w teorii, ale wszystko jest inaczej. Rzeczy ważne — których się szuka — są gdzieś zanurzone w nieważnych, tak z nimi przemieszane, że się wreszcie przestaje dostrzegać ich ważność.

Dziennikarze i literaci tropią, węszą. Jeśli natrafią na coś, co im się zgadza z założeniami wywiezionymi z redakcji, wpadają w ekstazę. Są zachwyceni własną spostrzegawczością, wrażliwością i „znajomością życia" kiedy napotykają w „terenie" na autentyczny fakt walki klasowej, awansu społecznego — czy na jakiś inny autentyk z „tych rzeczy".

— Siadać i pisać — powiadają sobie. — Wielkie sprawy, wielkie problemy... — Siadają i z tych wielkich spraw i z wielkich problemów konstruują mały i ubogi schemat, który z wielką trudnością kwituje fakt istnienia tych zagadnień. „Człowiek z terenu" nie może się wydziwić potem, po co się pisze utwory, mające na celu potwierdzenie tylko, że walka klasowa rzeczywiście istnieje. A tymczasem od literatury oczekiwał on czegoś całkiem innego: oczekiwał głębszego i bogatszego zagarnięcia zwykłych, najzwyklejszych spraw, jakie go otaczają, oczekiwał bystrości i dalekowzroczności w widzeniu ich rozwoju na jutro, owego filozoficznego wymiaru życia, którego sam się domyśla, ale nie potrafi sformułować tak, jak to czyni mądra literatura.

Byłem kiedyś w Nowej Hucie z pewnym warszawskim pisarzem. Zobaczył tłumy robotników, wracających do domu i westchnął:

— Jest w tym jakaś poezja!

Oto inteligencki kompleks niższości! Całe szczęście, że pisarz ów był krytykiem, a nie poetą. Gdyby był poetą, już by napisał pewnie coś okropnego, gdzie by się zachwycał tym, że istnieją rzeczywiście robotnicy, że naprawdę budują Nową Hutę i mają na własny użytek domy z prawdziwej, czerwonej cegły.

Pojechałem raz na budowę kolei. Nie pierwszy tam przyjeżdżałem. Ta kolej była jedną z ważniejszych inwestycji Planu 6-letniego. Ukazało się już o niej w prasie kilka reportaży pod nagłówkami „Z cyklu: wielkie budowle socjalizmu". Reportaże te rozpoczęły się od opisu terenu — biednego, zacofanego terenu, pozbawionego kolei. Dalej reportaże te mówiły o tym, że na próżno biedni chłopi zamieszkujący ów teren zacofany gospodarczo wyczekiwali budowy tej kolei od rządu obszarników i kapitalistów. Dopiero rząd robotniczo - chłopski przystąpił do budowy owej kolei, otwierając okno na świat chłopom-mieszkańcom owego terenu zacofanego gospodarczo. Dalej było o rozmiarach samej budowy, o robotnikach i inżynierach pracujących na tej budowie, o wynikach współzawodnictwa pracy, o werbunku robotników spośród okolicznych chłopów, o szkoleniu zawodowym dla niewykwalifikowanych robotników.

Czytałem te reportaże przed przyjazdem na budowę. A kiedy już przyjechałem, wyciągnąłem notes i zacząłem pytać:

— Jakie korzyści przyniesie budowa tej kolei dla terenu? Jaki jest stan dróg i stopa życiowa mieszkańców tego terenu? Czy ten teren jest bardzo zacofany pod względem gospodarczym? Jak się przedstawia zagadnienie werbunku okolicznych chłopów do budowy? Jakie są wyniki współzawodnictwa?

I po cóż ja się o to pytałem, kiedym to już wszystko wiedział? I po com ja to wszystko później pisał, kiedy to samo już inni napisali?

Co sobie myślą o nas ci robotnicy, inżynierowie, urzędnicy — kiedy rozmawiają z czwartym z rzędu reportażystą — i po raz czwarty muszą mu to samo powtarzać. Zupełnie jakby jeden nie wierzył temu, co drugi napisze, jakby chciał to sprawdzić i jeszcze raz — lepiej — napisać. Na zasadzie fraszki Potockiego:

„Młynarzu, są tu ryby?
Są, panie łaskawy!
Ejże, podobno niemasz?
I różne stoją stawy!"

O czym pisać... Oto moja rozmowa z dyrektorem budowy:

— Jakie znaczenie ma budowa kolei? — pytam.

— Ogromne. Kolej ta przechodzi przez tereny zacofane gospodarczo. Jest to jedna z najważniejszych inwestycji Planu 6-letniego. Pisano już o tym w prasie. Tak, w prasie pisano, ale kiedy ja jadę do Warszawy i kołaczę tam o pomoc w materiale, krzyczą na mnie, że mam wygórowane zapotrzebowania. A tutaj krzyczy na mnie Podstawowa Organizacja Partyjna, że opóźniam roboty. Bardzo dobrze, że pan przyjechał. Te sprawy wymagają obiektywnego spojrzenia.

Ja notuję:

— Ogromne znaczenie, tereny zacofane, jedna z największych inwestycji.

Potem pytam:

— Jak się przedstawia sprawa werbunku robotników na budowę?

— Robotników werbujemy z okolicznych wsi. Zwerbowaliśmy już dwa tysiące. Potrzeba nam drugie tyle. Werbuję kogo się da. Potem Podstawowa Organizacja krzyczy na mnie, że zatrudniam kułaków. A kogo ja mam zatrudniać? Niech pan powie, co ja mam robić?

Ja notuję:

— Werbunek z okolicy, ok. 2.000 na budowie.

Potem pytam dalej:

— Jakie są wyniki współzawodnictwa pracy? Kto się wyróżnił?

Dyrektor patrzy na mnie i mówi:

— A, to proszę przejść do referenta współzawodnictwa.

Miał rację: byłem już czwarty. Taki sam.

Różne jeszcze później rzeczy widziałem i różne rozmowy odbyłem. Kierownik odległego odcinka opowiadał mi o tym, jak robotnik ze złamaną ręką czekał dłuższy czas na opatrunek, ponieważ nie załatwiono etatów dla dostatecznej ilości sanitariuszek, które można by rozmieścić na wszystkich odcinkach robót. Widziałem, jak grupa szoferów, traktorzystów i maszynistów wpadła o 6 rano do sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej:

— Towarzyszu — mówili — jeżeli jeszcze raz dostaniemy na śniadanie czarną, niesłodzoną kawę i suchy chleb, sprawę oddajemy do prokuratora.

Sekretarz zerwał się i pobiegł po referenta socjalnego. Szoferzy za nim. Referent socjalny pobiegł po kierownika stołówki, ten po kierownika finansów.

Zrobiła się piekielna awantura. Na plac przed stołówką ściągnęli mieszkańcy bazy.

— Granda! Bałagan! — krzyczeli.

Ktoś wepchnął mnie w zbiegowisko:

— Tu jest towarzysz z prasy! Niech napisze — niech się ludzie dowiedzą — musi być wreszcie porządek.

— Tak, tak, słusznie — wtórowali wszyscy: i kierownik transportu, i kierownik finansów, i referent socjalny, i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. Ja także mówiłem:

— Słusznie. Nie powinno tak być.

Potem, znów gdzieś na budowie, ktoś przedstawił mnie gromadzie chłopów, pracujących przy jakimś obiekcie, głęboko w lesie, na zupełnym bezdrożu, daleko od bazy:

— Przyjechał tu do was towarzysz z prasy.

Wystąpiłem naprzód i chciałem zadać jakieś pytanie w rodzaju: Jakie korzyści przyniesie wam budowa tej kolei? Jaka jest wasza stopa życiowa?

Wtedy jeden z chłopów powiedział:

— A, z gazety? To bardzo dobrze. Nareszcie mamy komu powiedzieć, że od dwóch miesięcy nie otrzymujemy regularnie pieniędzy. Mówili, że przywiozą na odcinek. Nie przywieźli. Co tylko kto przyjedzie — zaraz mówimy o tych pieniądzach. Mówi, że powie. I znowu nic. Co my mamy robić?

— Towarzysz nie jest od tego — wtrącił mój przewodnik. Był to referent kulturalno-oświatowy. — Towarzysz przyjechał ogólnie opisać naszą budowę i przypatrzeć się jak pracujecie. Pieniądze się załatwi. Nie bójcie się.

— Acha — zgodzili się chłopi.

Tak, trafnie ocenił moją rolę ów referent kulturalno - oświatowy. Przyjechałem się przypatrzeć.

Reportaż mój mówił ogólnie o znaczeniu tej budowy dla okolicznych terenów gospodarczo zacofanych, o awansie społecznym chłopów pracujących na budowie, o wynikach współzawodnictwa. Redaktor gazety codziennej, dla której ten reportaż napisałem, był zadowolony. Reportaż świetnie pasował pod nagłówek: „Z cyklu: wielkie budowle socjalizmu", chociaż nic w nim nie było nowego. Uległem łatwiźnie schematycznego widzenia moich poprzedników. Nie zdobyłem się na postawę pisarza-rówieśnika i współtwórcy nowej epoki.

Głupio mi się zrobiło, kiedy w niedługi czas po ukazaniu się mojego reportażu przeczytałem w pewnym piśmie związkowym sprawozdanie z plenum Zw. Zaw. Kolejarzy. Znajomy mi sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej wygłosił tam obszerne przemówienie, w którym przytoczył tak jaskrawe fakty niedbalstwa i niedołę-

Dokończenie na str. 2-giej

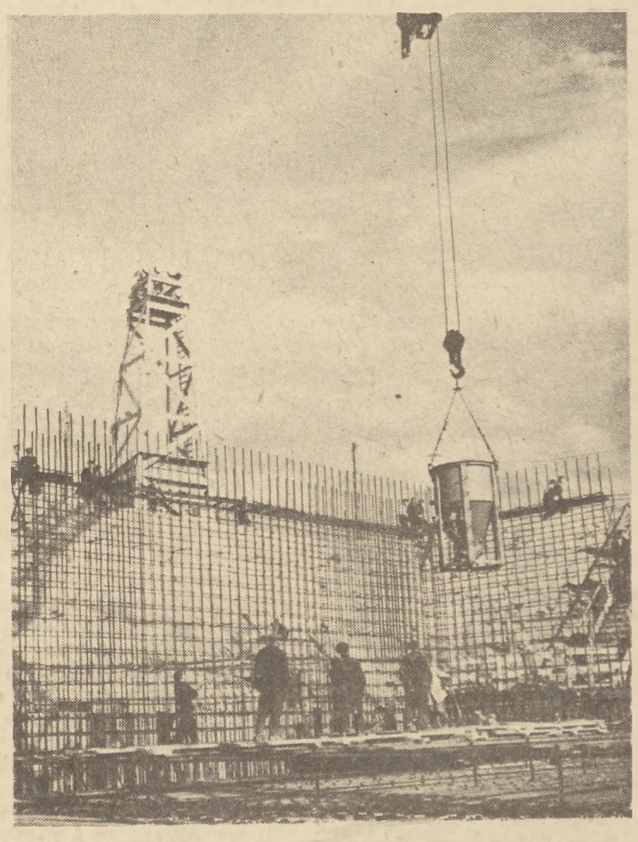

W nocy, gdzieś w okolicy Złotej błękitnawe błyski rozświetlają ślepe ściany ruin. To pracują spawacze na budowie Pałacu Kultury i Nauki. W nocy na dźwigach płoną lampki. W dzień — gasną. W dzień dźwigi pracują.

Tu, gdzie stanie 220-metrowa część wysokościowa, zakończono już pracę nad wykopami. Założono izolację wodną. Zakładają żelbetonowy fundament.

Stalowe kraty zbrojenia od spawaczy przyjmuje dźwig portalowy. Po szynach płynnie rusza do wykopu. Tu drugi dźwig, zwany uniwersalno-wieżowym, odbiera mu zbrojenie i opuszcza je na dół. Tam, na głębokości 10 metrów, na betonowej posadzce czekają spawacze. Takich uniwersalno - wieżowych dźwigów na budowie pracuje — trzy. W drugiej części wykopu jeden z nich wlewa w dół ciężkie masy betonu. Tuż obok dobiega końca montaż czwartego. Na ogólną liczbę 14.000 metrów sześciennych żelbetonu położono już ponad 3.000.

Coś na tej budowie wydaje mi się dziwne. Dopiero po chwili uświadamiam sobie o co chodzi: ludzi jest tu bardzo mało. Robią maszyny. „Ludziom zostaje kosmetyka" — żartuje ktoś z towarzyszy.

Ale część wysokościowa to tylko fragment przyszłego pałacu, który cały liczyć będzie około 800.000 metrów sześciennych. Naokoło powstanie kompleks gmachów o trzydziestometrowej wysokości.

Na skrzydłach budowy mieszczą się dwa pomniejsze wykopy. Tu będzie muzeum i gmach młodzieży. Naokoło robią pomiary. Pracują jeszcze badacze gruntów, wgryzając się w ziemię na stumetrową głębokość. Od pracy ich wiele zależy. Tłumaczą nam: my mamy grunt morenowy".

W październiku prace nad zakładaniem fundamentu będą całkowicie zakończone. Nadejdzie okres konstrukcji metalowych. Do końca roku bieżącego stanie tu około 3.000 ton tych konstrukcji. Pałac Kultury i Nauki wyrośnie do pięciu pięter.

Andrzej Mandalian

DO CZYTELNIKÓW

Począwszy od numeru bieżącego „Nowa Kultura" staje się tygodnikiem Związku Literatów Polskich, co zostało zaznaczone w nagłówku pisma. „Nowa Kultura" będzie nadal tygodnikiem społeczno - literackim. Mamy zamiar w stopniu większym niż dotychczas poświęcać jej łamy zagadnieniom literackim, społecznym i politycznym. Jednocześnie powstaje nowy tygodnik „Przegląd Kulturalny", poświęcony przede wszystkim problematyce innych — poza literaturą — dziedzin sztuki oraz upowszechnieniu kultury. Fakt pojawienia się nowego tygodnika witamy z radością jako jeden z przejawów coraz bujniejszego rozwoju naszego życia kulturalnego

Zespół redakcyjny

WIELKI PROLETARIAT

1 września b. r. mija siedemdziesiąt lat od dnia, gdy została wydana pierwsza, programowa odezwa Komitetu Robotniczego Partii Socjalno-Rewolucyjnej „Proletariat".

„Historyczną zasługą tej partii — mówi towarzysz Bierut — jest to, że wniosła ona po raz pierwszy do świadomości polskiego proletariatu najogólniejsze zasady marksistowskiej ideologii rewolucyjnej Wpajała ona w polską klasę robotniczą zasadę solidarności międzynarodowej, uczyła ją, że ustrój kapitalistyczny jest systemem o zasięgu światowym i usunąć go może tylko rewolucyjna walka proletariatu zorganizowanego pod hasłem „Manifestu Komunistycznego": „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!"

Rysunek Tomasza Gleba, który wyżej reprodukujemy, przedstawia fragment procesu 29-ciu proletariatczyków przed sądem wojennym w Warszawie (listopad — grudzień 1885).

Oto fragmenty przemówień w sądzie niektórych przywódców i działaczy Proletariatu":

LUDWIK WARYŃSKI: My nie sekciarze ani też nie oderwani od rzeczywistego życia marzyciele... Socjalistyczna teoria otrzymała prawo obywatelstwa w nauce i na jej korzyść nieustannie świadczą realne fakty współczesnego życia... Przekonani jesteśmy, że uwolnienie klasy robotniczej od ciążącego nad nią ucisku powinno być dziełem samych robotników... Nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, patrzymy jako na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. Przewidujemy go i staramy się, żeby nie zastał nas nieprzygotowanymi.

STANISŁAW KUNICKI: Cała moja wina — to miłość moja do ludu, za którego uwolnienie gotów jestem do ostatniej kropli przelać krew swoją... Sądzić nas możecie i osądzić. My umrzemy z poczuciem spełnionego obowiązku.

MICHAŁ OSSOWSKI: Nauka socjalistyczna wskazuje robotnikom środki wyjścia z ich teraźniejszego położenia... My, robotnicy, doskonale to odczuwamy, że walka toczy się o nasze interesy; my wkładamy w nią całą naszą energię i gotowi jesteśmy nieść brzemię odpowiedzialności za to, co przez nas zrobione zostało.

Polska klasa robotnicza, naród polski nigdy nie zapomni tych, z których walki, ofiarności, cierpień, krwi zrodził się — dziś zwycięski — polski rewolucyjny ruch robotniczy. Spadkobierczynią rewolucyjnych tradycji I-go Proletariatu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

NA POLIGONIE TRZEBA STRZELAĆ

Dokończenie ze str. 1-ej

stwa niektórych pracowników owej budowy oraz pewnych instytucji centralnych, że poruszył wszystkich obecnych do szerszej dyskusji. Rozpoczęła się potem wielka akcja mająca za zadanie oczyszczenie stosunków na tej budowie i na wielu innych, o których powiedzieli dyskutanci, zachęceni wystąpieniem mego znajomego sekretarza.

— Psiakrew — pomyślałem sobie wtedy — byłoby mi przyjemnie, gdyby to mój reportaż wywołał tę dyskusję. Może jeszcze szersze kręgi zatoczyłaby ta dyskusja? Może jeszcze więcej błędów zdołano by wtedy usunąć? może — z większym zaufaniem witano by dziennikarza i literata, gdyby wiadomo było, że nie przyjeżdża „opisać ogólnie" i „przypatrzyć się"? Byłoby dobrze — myślę sobie dzisiaj — gdyby każdy reportaż, każda nowela czy powieść współczesna coś usprawniła, pomogła, wyjaśniła i wzbogaciła wiedzę o współczesnym człowieku.

Kokietujemy ciągle tym, że wiemy, jak się miesza wapno, jak się buduje most, że „znamy życie", ponieważ widzieliśmy autentycznego przodownika pracy z autentyczną traktorzystką (oboje z autentycznego awansu społecznego) na autentycznej randce

Nikt od nas nie oczekuje konstatacji, że socjalizm się naprawdę w Polsce buduje. Natomiast wielu ludzi oczekuje od nas ukazania budowy socjalizmu, oczekuje od nas pomocy w tej walce. Ale my nie śmiemy. My jesteśmy ciągle jeszcze Szarlejami, którzy już wprawdzie przestali się zastanawiać nad tym, jakie nieszczęścia wynikają stąd, że nie urodzili się robotnikami, ale wciąż jeszcze jadą w „teren", na ten mitycznie rozumiany poligon wielkich problemów i „robią" publiczność zamiast pomóc przy budowie socjalizmu. Jesteśmy klakierami.

Zdarzyło się dwóch cwaniaków, którzy przez kilka miesięcy naciągali dwóch naiwnych pisarzy. Opowiadali im niestworzone rzeczy o swojej przeszłości i o swoich sukcesach produkcyjnych. Naiwni wierzyli: jeden fabrykował wiersze na cześć swego klienta, drugi opowiadania i reportaże Klienci byli kapryśni i dość ostro rugali swoich biografów za niedociągnięcia w panegirykach. Nareszcie ktoś się w to wmieszał i całą spółkę rozpędził na cztery wiatry.

Ot, zderzenie z terenem.

Andrzej Kijowski

BOHDAN CZESZKO

KUKUŁKA

Opowiadanie

Zapewne doskonale znane jest wam męczące uczucie własnej zbyteczności i głupoty, kiedy przychodzicie do kogoś „nie w porę", w nastroju i ze sprawami kontrastującymi drastycznie z nastrojem i sprawami otoczenia. Przedwczoraj znalazłem się w takiej właśnie sytuacji, kiedy wieczorem polną drogą przyszedłem do wsi Kurhan.

Znacie także przedziwne piękno zmierzchów ciepłej i mokrej wiosny. Od wsi nisko ciągną się dymy i zapach spalonego drzewa; w oborach dudnią o blaszane dna pustych jeszcze wiader bicze gorącego mleka, wyssanego z pierwszych młodych traw.

Dodać należy: szedłem w odwiedziny do człowieka, którego, mając na uwadze jego podeszły wiek, zaledwie śmiem nazywać przyjacielem. To pan Antoni, stolarz tutejszy, człowiek wielkiej szlachetności Rzemiosło swe zna doskonale i uprawia je z takim pietyzmem, że przywodzi mi zawsze na myśl owych nieznanych nikomu majstrów Renesansu, których prace zespoliły się jak cegły w gmach świetlanej sztuki tego okresu, kiedy to nie rozgraniczano prawie pojęć sztuki i rzemiosła.

Można łatwo wywnioskować, jak wielki spokój miałem w sercu zbliżając się do wsi Kurhan. A jeszcze najbliższa perspektywa zawierała kolację złożoną z siadłego mleka i razowca przywalonego złomami śnieżnego sera, posypanego grubą solą; dalsza — łowienie srebrnych sandaczy w rzece tutejszej.

Zgrzytnęło, kiedy wszedłem pomiędzy domy. We wsi panował bezruch zamiast zwykłej krzątaniny wieczornej. Ludzie, znający mnie, pozdrawiani przeze mnie odpowiadali poważniej niż zazwyczaj na moje: „dobry wieczór, Grzelak", „dobry wieczór panie Władysławie", „servus Kostek". Grzelak odpowiedział nawet: „dobry wieczór *towarzyszu* Czeszko" — co mnie wyraźnie zaniepokoiło, bowiem, choć obydwaj jesteśmy w Partii, oszczędzamy to piękne i uroczyste nazwanie.

Przy jednej z zagród stali w zwartej grupie kobiety i mężczyźni, naradzając się cicho. Nawet dwie małe dziewczynki, stojące nad rowem, rozmawiały szepcząc — z oczyma rozszerzonymi jak przy słuchaniu baśni o babie-dżumie. Mijając dom, przyznam, lekko odetchnąłem, ponieważ śmierć do innego domu weszła, a nie do domu Antoniego.

Opowiadał: „przynieśli go z ugoru w płachcie. Płótno było przemoczone i w kurz na drodze kapały kropelki. Byłem na dwóch wojnach i ja wiem, co może być w takiej płachcie... Granat został t od roku 1942 — kiedy oni szli r Rosję. Zasypali ziemią, zrobił s kopczyk graniczny na miedzy. I szcze rozmyły widać warstwy p chu, lecz nie odsłoniły żel Chłopiec rozpalił ognisko na czyku, ognisko z zeszłorocz kartoflanych łodyg. Był urod kiedy przyszedł pokój, cóż on wiedzieć o granatach... Przych do mnie do warsztatu, pod mu się wióry skręcone w sp ne. Pozwalałem mu kleić je w długie pasma, które wieszał niby girlandy na płocie"...

Opowiadał, kiedy nad ranem siedzieliśmy obydwaj w łodzi na rzece. Woda szła bystro tutaj burcząc cichutko przy łódce. Było to dobre miejsce na sandacza. W niebie wisiał cieniutki, młody księżyc. Zorza czerwieniła długimi smugami płaskie chmury uchodzące na wsch d. Światła przybywało coraz więc — było delikatne i uszlachet ce, kolor wody, wodnistą jesz ieleń drzew nadbrzeżnych i zie Kracząc przeciągnęły wysok ony. Wstawał dzień. Rozbły śniewającym blaskiem białe ka kamieniołomu na zachod egu błysnął złotem owy wieży klasztornej kaplicy, ruszył go wiatr obudzony

yczna W vartość r stanowiący nia pozyc niezależne stawały r założenia sk Jeżeli n wyelimin wystaw, to cenne, pomnieć n m s s niami. W jednej b była jed my różn nięć, w zów nie wał je stów tyc sprzedaw go dorob 1/3 przek tym rel ciółmi).

Pod ty czasowe nie w

ciało mi się łowić ryb. Nie nie świt — przeczuwałem gorąco dnia — kłujący w sk słońca na wodzie. Anto nie obserwował końców Umówiliśmy się na łowienie ąc wypłynęliśmy na wodę, zystko.

ocześnie z głosem klasztor naturki wołającej na jutrz dą przyniosło głos kukułki. yłem, że wargi Antoniego ają się. Liczył. Na mój py wzrok nie odpowiedział od Popatrzył na brzegi, na wo drzewa na ziemię dymiącą zapachem wiosennej wilgo różyłem lata pokoju" — po

Bohdan Czeszko

Rys. Jan Lenica

Z życia kół młodych przy oddziałach Związku Literatów Polskich

Katowice

Jakiś prototyp Koła Młodych istniał w Katowicach już w roku 1949, ściślejsze ramy organizacyjne ustalono w styczniu 1951 r.

Po przeprowadzeniu selekcji i weryfikacji Koło liczy 18 członków, w 80 procentach pochodzenia robotniczego. Część członków dojeżdża z innych miejscowości Górnego Śląska i Zagłębia, co odbija się, niestety, na frekwencji zebrań.

Zarząd Koła ustala kwartalne plany pracy, przeznaczając jedną niedzielę w tygodniu na seminarium prozy, jedną — poezji, a dwie — na kurs wykładów z poetyki opisowej. Na seminariach są dyskutowane utwory członków Koła. Biorą w nich stale udział literaci śląscy, jak: Jan Brzoza, Aleksander Baumgardten, Władysław Baselides, Zdzisław Hierowski i in.

Swoistą formą pracy, stosowaną w Katowicach a rzadszą w innych ośrodkach, jest patronat poszczególnych członków Związku Literatów Polskich nad poszczególnymi członkami Koła Młodych. Eksperyment ten dał na ogół dobre wyniki.

Nawiązano kontakt z Kołami Młodych w Krakowie i Wrocławiu oraz z kółkami polonistycznymi przy szkołach ogólnokształcących. Niestety, zupełnie nie interesuje się pracą Koła Zarząd Wojewódzki ZMP ani ORZZ.

J. B.

Poznań

Koło Młodych istnieje od grudnia 1950 roku. Przez dłuższy czas jednak nie było żadnej opieki nad Kołem ze strony oddziału poznańskiego ZLP. Obecnie opiekunem Koła jest Bogusław Kogut — do niedawna aktywny członek Koła, przyjęty ostatnio do ZLP.

W roku bieżącym ustalono w Kole ściślejsze metody pracy, m. in. wprowadzono stałe zebrania seminaryjne. Koło nawiązało bliską współpracę z redakcją „Gazety Poznańskiej".

Obecnie Koło liczy 17 członków, w tym znaczną ilość studentów lub absolwentów wyższych uczelni. Należy stwierdzić, że w dziedzinie rekrutacji nowych członków zdziałano dotąd bardzo mało. Zachodzi obawa, że z chwilą przejścia „pierwszej generacji" Koła w szeregi Związku — praca w Kole utknie na mieliźnie. Planowa rekrutacja utalentowanej młodzieży robotniczej — oto jedno z naczelnych zadań, stojących obecnie przed zarządem Koła i władzami poznańskiego oddziału ZLP.

B. K.

Szczecin

Koło Młodych przy Oddziale ZLP w Szczecinie istnieje od kwietnia 1951 r. Trzynastu członków Koła — to młodzież pochodząca ze środowiska robotniczo-chłopskiego lub inteligencji pracującej. W przeciwieństwie do poezji stosunkowo słabo reprezentowana jest proza, dość licznie natomiast przekład, zwłaszcza z języka rosyjskiego. Przeprowadzona w początkowym okresie istnienia Koła weryfikacja jego członków ujawniła pewne braki zarówno w zakresie ideologicznym jak w dziedzinie wykształcenia ogólnego — znajomości historii, literatury polskiej i obcej. Zorganizowano zatem comiesięczne seminaria z zakresu historii i historii literatury, prowadzone przez członka Oddziału ZLP w Szczecinie — Marię Boniecką. Na zebraniach cotygodniowych omawia się twórczość poszczególnych członków Koła metodą seminaryjną: odczytanie utworu, referat, koreferat, dyskusja. W dyskusjach bierze udział opiekun Koła — Witold Wirpsza, jak również inni członkowie szczecińskiego Oddziału ZLP.

Plany na przyszłość polegają na dalszym kształceniu się w oparciu o szczegółowo opracowany rozkład zajęć, zorganizowaniu systematycznego szkolenia ideologicznego, zbiorowych wyjazdach w teren oraz wspólnych porankach autorskich w fabrykach i na wsi. W ścisłej łączności z Zarządem Wojewódzkim ZMP Koło pragnie również przeprowadzić od września br. — gdy po przerwie wakacyjnej podejmie swą działalność — rekrutację nowych członków, zwłaszcza spośród szeregów młodzieży robotniczo-chłopskiej i studentów, uczęszczających na wyższe uczelnie Szczecina.

M. K.

WITOLD WIRPSZA

O CZYM BĘDZIESZ SIĘ UCZYŁ

Synowi do szkoły

O kwiatach. Będziesz prowadził zielnik.
Do zeszytu wepniesz liść, łodygę, pąki,
Będziesz chodził nad rzekę, na wzgórza i łąki,
Będziesz umiał nad wodą cienie od świateł oddzielić.

Nauczysz się schylać, by postrzec, jak mdły kiełek
Przebija ziemię. Zrozumiesz słowo: wiosna.
A gdy najmniejsze już dojrzysz, zechcesz ujrzeć wiele:
Zepniesz wzrok z horyzontem, wyprostujesz postać.

* * *

O zwierzętach. O barwach ptasich. Owadów budownictwie.
O kropli wody, gdzie ruch wielkomiejski.
O psa wierności. Słonia mądrości. O mimikrze.
O dniu, kiedy małpa rozsądnie
Zaczęła używać ręki.

* * *

O planecie i gwiazdach. Zmierzysz podmiejski ogródek.
Przeciągniesz linię prostą i koło zatoczysz.
Na drobnej podziałce liniału będziesz ćwiczyć oczy,
W rytmicznych obrotach ziemi dojrzysz przyczynę i skutek.

Zatęsknisz i pomarzysz nad mapą tej planety.
Nazwy dźwięczne pokochasz.
Gór wysokich szczyty, oceanów odmęty,
Ludzkimi sprawami spięte kontynenty —
To dla twojego serca
Także dobry pokarm.

* * *

O człowieku. Że nie jest jak ptak,
Co śpiewa, słońcem nabrzmiały i słońce z gardła wyrzuca,
Ale tym jest, kto pytanie postawił: jak?
I teraz wie, jak działają ptasie gardła i płuca.

Że poznaje wszystko. I gwiazd dalekie płomienie,
I kłębowisko mgławic atomów niepokój potężny,
Własna mu myśl nie obca, gdy się rozwija i piętrzy,

Aby, jak rzek łożyska, samą siebie przemienić.
Ba, o człowieku! Że nie jest jak ptak,
Choć serce w nim trzepoce — nieustanne skrzydło.

Którędy lot? Któregoś dnia — do gwiazd.

* * *

O kraju. Ojczyźnie. Że nic nie trwa wiecznie
I tylko lud nie przeminie.
Że trzeba walczyć o czas swój i przestrzeń.
Budować, budować! Z kształtu, co zginie,
Nowe kiedyś powstanie naczynie.

Więc kochać także, co nie wiecznotrwałe,
Kształtować, co zmienią lata
Sercem, które kiedyś ustanie,
Myślą, która rozsypie się w pianę
W burzliwej pianie wszechświata.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

ZMIENNE PRĄDY

Nie wiem, czy to się panu uda opisać, dla fachowca terminologia techniczna jest zupełnie jasna, ale u laika nie wywoła żadnego obrazu, grozi więc nudą — patrzy na mnie z napięciem inż. Skrzypek. Macham ręka, żeby mówił dalej, uśmiecha się, jednak i uśmiech ma podszyty niepokojem. Chciałby jak najlepiej przedstawić, wprowadzić mnie w prace Głównego Instytutu Elektrotechnicznego, ale mi nie ufa, z góry przypuszcza, że sprawy jakie przede mną zarysuje okażą się za trudne do przyswojenia, za specjalne. Tym bardziej czytelnik nie potrafi przebrnąć przez ten wywiad, zniecierpliwiony odwróci kartę, wzruszywszy ramionami na widok jeszcze jednego sondowania produkcyjnego. Tak jakby wiedza o sposobach i ośrodkach wytwórczości nie była wiedzą o nowym świecie.

— Różne zarzuty można nam stawiać, ale na pewno praca nie jest nudna... Wystarczy rzucić okiem na zestawienia procentowe, przed i po naszej interwencji... Wskaźnik wyraźnie skoczył.

Teraz i ja pomyślałem — zaczyna się niedobrze. Janka czeka na mnie na dole. Wprawdzie posłałem ją do Hal, miała wybrać jakieś kwiaty do domu. Widziałem całe snopy cielistych mieczyków i pierwsze astry o kolorze dymu przypominały, że już jesień blisko. Nim rozpatrzy się w soczystych plamach, przechyliwszy głowę, jakby już wybierała temat do martwej, nim kupi owoców, na których jak krople zielonego metalu wygrzewają się muchy, dowiem się wszystkiego, co jest mi potrzebne. Nie przyszedłem do Instytutu bez przygotowania, zasięgnąłem języka na Hucie, przeczytałem parę numerów gazety zakładowej, przejrzałem specjalne wydawnictwa. Muszę przyznać, sam proces wytwórczy wydał mi się tak prosty, że trudno mi przychodziło uwierzyć w jakieś ulepszenia które zawdzięczano Instytutowi. Zanosiło się na długą konferencję, po której obaj, opadłszy z sił, rozstaniemy się z uczuciem zawodu. Szukałem konfliktów, a nie wycinka życia zwężonego do technicznego opisu produkcji, szukałem człowieka poszerzonego o twórczość człowieka, który świadomie zmienia strukturę gospodarczą kraju. — Biedna Janka — pomyślałem — to się pociągnie, będzie na mnie zła...

— Instytut nasz powstał już w 45 roku, więc mamy ładnych parę lat roboty za sobą... Co go stworzyło? Nacisk okoliczności, zwyczajnie — potrzeba. Zebrało się grono fachowców zainteresowanych pewnymi zagadnieniami przemysłowymi, fanatyków, ludzi o dużej wiedzy i nie mniejszym uporze, no i zaczęliśmy się mocować z trudnościami, jakie stawiało nam odradzające się życie... Na zachodzie przejęliśmy sporo fabryk, hut, stalowni... Brakowało źródeł energii, siłownie poniszczono, trzeba było wiązać na nowo sieć wysokiego napięcia, odbudowywać, tworzyć...

Instytut miał dwojakie zadanie: na daleką przyszłość — rozwiązywanie zagadnień teoretycznych, i natychmiastowe — interwencje speców na zagrożonych odcinkach, pomoc w kłopotach produkcyjnych. To pozwoliło nam, a raczej zmuszało, do stąpania po ziemi... Nie bawiliśmy się w scholastykę naukową. Każde zagadnienie teoretyczne wkrótce znajdowało swoje potwierdzenie w praktyce. To nie literatura — mówił inżynier z przekąsem — u nas wszystko się zgadzać musi, miliony kilowatów, tysiące ton stali, potwierdzają słuszność obranej przez nas drogi.

— No, i nagrody, które waszym pracownikom przyznano — dorzuciłem — to również mili konkret, który uskrzydla myśli...

— Pewnie, że nagroda cieszy... Potwierdza, że naszą pracę doceniono. Myślę, że będzie ich więcej, choćby w dziale, o który pan pytał — za szybkościowe wytopy... Nagrody otrzymał zespół pracowników pod kierownictwem inż. Skoczyńskiego i dr inż. Myślickiego za zbudowanie automatu, który pozwala na kontrolę tego, co się dzieje w sieci, daje jasny obraz obciążeń, zarówno rzeczywistych jak i sztucznie wywołanych. Więc można doświadczalnie sprawdzić podłączając miniaturowe elektrownie, przewidzieć co będzie, jeśli tam staną prawdziwe, nieomylnie prorokować... Aparatura jest dla prądów stałych i zmiennych... Drugą nagrodzoną pracą, wykonaną pod kierownictwem inż. Badera, był odgromnik sieciowy...

— Jak się do was odnoszą tam, w fabrykach, gdzie zjawiacie się by dokonywać eksperymentów technicznych?

— Raczej niechętnie. Zwłaszcza z początku. To zresztą zrozumiałe. Uważają, że nasze badania są oderwane od życia, a nasi inżynierowie prowadzący pomiary „gawędzą im", są co najmniej zbędni... Podejrzewali, że nasze instrukcje, w których zalecaliśmy zmiany w cyklu produkcyjnym, są jakąś złośliwością. Bali się, że wyśrubujemy normy, a oni nic na tym nie zyskają... Praktyka jednak rozwiała te uprzedzenia. Ale pan lepiej zrozumie, gdy podam przykłady. Zaraz zawołam kolegę Świrczewskiego, on miał niejedną przeprawę w hucie, którą próbowaliśmy dopomóc...

Za oknem poszarzało, sypnął gruby deszcz, od razu zapachniało zmoczonym kurzem miejskim i wilgotnym asfaltem. Widziałem z okna, jak przed bramę Hal znoszono całe kosze zielonkawych renklod, niemal czułem ich kwaskowy smak. Gdyby Janka była mądra, pomyślałem, kupiłaby torbę, ale ją na pewno bardziej pasjonują gesty handlarek, układ barwnych plam, mżenie ledwie dostrzegalne powietrza, nie pomyśli o mnie.

— Malarka — szepnąłem prawie pogardliwie.

W tej samej tonacji przekornego wyrzutu powitał mnie inż. Świrczewski:

— Znam pańskie nazwisko... Czytałem jakąś książkę... — Widziałem jak marszczy czoło, nie byłem pewny, czy chce sobie przypomnieć tytuły, czy szuka właściwego wyrazu, by pozyskać mnie dla spraw Instytutu.

— Co pana naprawdę interesuje — zapytał wreszcie.

— Ludzie i ich praca.

— Wolałbym mówić o automatach — zmarszczył brwi — ludzie wnoszą do naszej roboty pewien procent niestałości, błędu... Ale trzeba jak było, po kolei... O stali myśleliśmy wcześniej, zanim z całą ostrością na VII Plenum prezydent Bierut nie postawił sprawy zwiększenia produkcji... Tak, że od razu mogliśmy wystąpić z celowymi wskazówkami. Chcieliśmy upewnić się, przed opracowaniem ogólnej instrukcji, czy nasze przewidywania i obliczenia są słuszne, dlatego delegowano mnie do Huty i tam własnoręcznie, przy piecu musiałem udowodnić prawdziwość naszych koncepcji... Gdy przebrnąłem przez mnóstwo biurokratycznych zasieków i stanąłem przed pokrętłami i zaciskami pieca... Jakby to panu wyjaśnić na czym sedno zabawy polega... Więc piec łukowy, w dole misa, gdzie zbiera się kąpiel, czyli roztopiony metal... Z góry trzy elektrody, z których jak z kranów leje się struga energii. Z pewnego rodzaju złośliwą satysfakcją pozostawiono mnie sam na sam ze skomplikowanym urządzeniem. Piec jest automatyczny, to znaczy nie dopuszcza do ostatecznej katastrofy, wywala bezpieczniki, ale kłopotów z nim dość... Każdy piec ma swoje indywidualne cechy, humory, jak mówią hutnicy. Człowiek sterujący wytopem ulepsza automat swoją inteligencją i doświadczeniem zawodowym. Od jego czujności, szybkiego reagowania na ruchy wskazówek zależy czy piec przerwie pracę, czy będzie miał uszkodzenia...

Podszedłem bliżej, nadałem impulsy, zadrgały wskaźniki i — trzask, trzask — wywalało bezpiecznik za bezpiecznikiem. Robotnicy w śmiech, że niby nie tak łatwo starego wytapiacza zastąpić i pouczać... Nie wiedzieli, że ja kontroluję aparaturą. Znali związek między włączeniem energii i wzrostem temperatury, ale procesy przebiegające wewnątrz pieca były dla nich zagadką. Zresztą uważali tę wiedzę za niepotrzebne obciążenie... Przebieg wytopu można odczytać zarysowany na taśmie kontrolnej, każdy spadek, zawahania, wyłączenia... Zygzak powinien być gęsty i równy, bez skoków i przerw.

Kiedy wskazówki zaczęły zadziwiająco równo nakładać kreskę na grafikon, wytapiacze poszli na drugą stronę pieca zobaczyć, czy magnesem, albo wprost kawałkiem drutu nie przyhamowałem wychyleń strzałki... Wytop był o godzinę krótszy, a załadunek pieca, o cztery tony większy... Sukces, z którym nie mogli się pogodzić, a nie potrafili zaprzeczyć... Przejrzałem inne wykresy. Zastanowiły mnie częste przerwy w pracy pieca. Co je spowodowało? Wymiana elektrod. Zastanowiłem się, dlaczego się kruszą? Okazało się, że dół wsadu się roztopił, a górą były jeszcze bryły i pręty, więc góra ciśnie, obsuwa się gwałtownie, przecież to ciężary parotonowe, nagle taki pręt dźwiga się, uderza w elektrodę i łamie. Jasne, że stąd przerwa w pracy. Trzeba je innymi zastąpić. A więc rozsądek nakazywał zmienić sposób ładowania...

Inżynier Skrzypek skrzywił się ironicznie:

— Ale spróbujcie coś wytłumaczyć starym majstrom... Nikt z nas nie lubi jak go pouczają, a cóż dopiero taki hutnik, który zęby zjadł na wytopach... Tyle lat przepracował i było dobrze, zawsze kęsy ciężar kładł na wierzch, żeby tłoczył wióra i szmelc, a teraz przychodzi facet zza biurka i przewraca tradycyjny załadunek... Dobrze, niech sobie sam układa, oni umywają ręce, bo jak aparatura nawali...

— Nie wszystko odbywa się tak — cacy-cacy — jak w waszych czytankach... Ludzkie sprawy to właśnie tarcia — podejmuje inż. Świrczewski — myślę, że dużo mieliby uciechy, gdyby nam się nie powiodło. Własne, małe ambicyjki przesłaniały dobro huty, plan, kraj... Trzeba było wiele taktu i rozwagi, żeby nie doszło do ostrych spięć z załogą, a zwłaszcza z kierownictwem... Oni tak rozumowali: „acha, przyjechali, wtrącają się w nasze sprawy, trzeba im nosa utrzeć... Chcą wykazać, że jesteśmy nieukami, że bez nich leżymy, dobrze pokażemy im..." Rysuję to trochę przesadnie, ale tak jednak w gruncie rzeczy było. Z robotnikami jeszcze przyszło dogadać się najłatwiej. Gdy zobaczyli, że mamy naprawdę krótszy czas wytopu, że inny układ wsadu chroni elektrody od awarii, od razu przystawali na zmiany. Ale robotnik jest zależny od kierownictwa... My przyjdziemy, pomierzymy, damy wskazówki i wracamy do Instytutu, a dla hutnika nadal zostaje więź służbowa... Musi więc nieraz lawirować między nowym i starym, bo nieuchwytna, trudna do ukrócenia mafia biurokratyczna, potrafi — a wszystko pod pozorem prawnego działania — obrzydzić życie... Był taki wypadek, że wytapiacz przy piecu dziękował nam za instrukcje, bo skutkowały, a przy komisji z zarządu Huty przechwalał się, że to on pouczał inżyniera, jak się powinno wytop prowadzić...

Fot. Władysław Sławny

— Oczywiście — wtrąca inż. Skrzypek — nie jest ważne kto kogo... Uczyliśmy się wzajemnie. Ważny jest tylko wynik prac, a tego nie można pominąć... Dla każdego był jasny. Kiedy jednak przychodziło do omówienia i oceny naszej roboty, każde słowo uznania trzeba było wyduszać z kierownictwa Huty. Doszło do tego, że kol. Świrczewski musiał prosić o pomoc i interwencję naszej organizacji partyjnej. Jeździliśmy do Huty i dopiero wsparcie o tamtejszą egzekutywę zapewniło nam dalsze prowadzenie prac...

— Z czego powstają te zadrażnienia?

— Z przesadnych ambicji, z zazdrości, z męskiego wstydu, że wcześniej tych zagadnień nie przemyślano, bo wskazówki nasze są uderzająco proste. Trzeba było tylko na to wpaść — mruży oczy inż. Świrczewski — zwykle „potem" każde ulepszenie uderza oczywistością! Huta to mały partykularz. Plan ogólny gdzieś bardzo daleko, a każdy piec ma swoją politykę, brak ścisłego powiązania w większe całości, działania zespołowego... Robotnicy, którzy ładują wsad, chcą naprać jak najwięcej złomu, no i walą byle jak... Powstają powietrzne poduchy, a powietrze też izoluje, opóźnia wytop... Od chwili gdy wsad opadnie do pieca, już nic ich nie obchodzi, choć by tam się wszystko kotłowało i łamało elektrody... Trzeba pomału przyzwyczajać, wiązać skutki z przyczynami, pokazywać, uczyć...

— Dlatego on woli mówić o maszynach jak o ludziach — drwi inż. Skrzypek — ludzie są dla niego za chwiejni... Po maszynie wie czego się ma spodziewać...

— Były chwile, że mi spod ręki ginęły wykresy, a wsad ładowano mi śmieciem, żeby obniżyć jakość wytopu... Głupota i zawiść ogły zatriumfować. Nawet kiedy już uznano zdobycz, sprawdzono, że mamy rację, nie przestano szeptać: „przyjechali do nas z Warszawy, podpatrzyli nasze sposoby, wyniuchali, coś tam ulepszyli i teraz zgarną cały sukces. Oni wezmą nagrodę, a nam podniosą normę..." Dużym błędem było, że zaraz na wstępie, nie wytłumaczono załodze, że wzrost produkcji, to i zwiększenie zarobków...

— No, dobrze, ale dlaczego?

— Dlatego, że między ludźmi, nawet jak nam w oczy patrzą, poruszamy się po omacku, trudno odgadnąć co ich postępowaniem kieruje... Dlatego wolę maszyny, bez żartów...

— Niech pan patrzy. Tu mam listy z podziękowaniem z Huty. Ten piec któremu instrukcję wytopu opracował kolega, podnosząc wydajność o trzydzieści procent, uratował ich plan miesięczny... Teraz dziękują. Teraz z każdym kłopotem do nas, jak w dym, a przedtem chcieli nas pławić, pozbyć się jak najprędzej..

— Stal to tylko droga, dla nas ważny jest człowiek, czemu więc nie próbujecie go ustawić w stronę przyszłości, niechby patrzył w jutro jak w okno...

— Właśnie o to nam chodzi! Robimy wykłady, dokształcamy załogę, robotników i kadrę. Przecież instrukcja będzie świstkiem, ugrzęźnie na biurku wśród stosów innych formularzy i pouczeń, jeśli robotnik sam nie pojmie, co może dzięki niej uzyskać. Podnoszenie wyszkolenia fachowego, uświadomienie każdemu z nich, że właśnie w zespole, w załodze, w planie huty, w państwie ludowym — na niego, właśnie na niego — liczą wszyscy, od majstra po naród z prezydentem na czele, wtedy zrozumie śmieszność swoich podejrzeń i całą nałość rywalizacji z nami na ciasnym podwórku fabrycznym.

— Zgadzam się, że praca hutnika jest jedną z najcięższych... Oni nie mają jeszcze swojej karty, jak górnicy. Dużo przychodzi prosto od pługa i kosy. Huta wygląda dla nich groźnie, wymaga nieustannej czujności. Tych nowych trzeba wiele, bardzo wiele nauczyć... Przecież nie będą robotami, tylko muszą rozumieć, współpracować z maszyną...

— Żeby wam udowodnić, jak wiele jest niespodzianek w człowieku, z jakimi drobiazgami trzeba się liczyć, przytoczę jeszcze przykładzik: przy tokarkach i w formierni pracują dziewczęta. Instrukcja mówi, że mają być w chustkach. Ale żadna ich nie nosi, bo chcą się podobać chłopcom! Choć maszyna wstarga dziewczynie z głowy pasmo włosów, szybko o tym zapomina. Nie pomagają ostrzeżenia i kary. Chęć zdobywania serc jest silniejsza od rozkazu!

Ledwie to usłyszałem, przyszła mi na myśl Janka. Deszcz ustał, wróble hałasowały na pogodę.

— Tylko niech pan nie napisze o samych kłopotach, bo te już w dużej mierze za nami. Na razie mamy sukces. O trzydzieści procent podniesioną wydajność pieca, skrócony czas wytopu, zmniejszoną ilość energii zużywaną na rozpuszczenie tony złomu... Załoga jest zadowolona, wspomina nas przyjaźnie, no i my jesteśmy zadowoleni także...

— Póki na innej hucie nie zacznie się kabała od początku — mrugnąłem porozumiewawczo — ale to są sprawy życiowe...

— Niech pan nie zapomni zaznaczyć, że gdyby nie pomoc pierwszego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej na Hucie, tarcia trwałyby nadal, a tak, parę spotkań, wygarnęliśmy sobie prawdę w oczy i zaraz się atmosfera oczyściła...

Obiecałem, że zapamiętam. Zbiegłem po schodach Janka siedziała z pękiem mieczyków wspartych o ramię, jak św. Cecylia z palmą męczeńską.

— Aleś tam ugrzązł — załamała ręce — myślałam, że już sobie pojdę!

— Co masz w torbie? Kupiłaś śliwki? Przecież musiałem pogadać.

— Kupiłam, ale zjadłam, tak długo cię nie było...

— Więc wcale o mnie nie myślałaś!

— Jak to nie myślałam? — obruszyła się dotknięta — cały czas żałowałam, że cię nie ma, wybrałam takie soczyste, dojrzałe...

Wojciech Żukrowski

TADEUSZ KUBIAK

PIĘĆ WIERSZY

O SAMOTNOŚCI

Piękna jest cisza — ale
milczenie samotności
dzwoni w uszach natrętnie.
Skrzypce źle nastrojone.

Wiem już czemu wychodzę
z domu, który jak muszla
pusta leży na brzegu
wody wielkiej, wzburzonej.

O CÓRKACH

Miłość wieki przetrwała.
Jak do serca przytula
wdzięczną mi Małgorzatę
żywa wiecznie Orszula.

Co z miłości poczęte
nie umiera dla świata —
orszulowym szczebiotem
gada dziś Małgorzata.

O KRAJOBRAZIE POLSKIM

1

Widziałem wieś rozszarpaną
burzliwą falą wiślaną —

ślad ścieżki — niegdyś w ogrodzie
porwanym falą powodzi —

strzęp pola — w pustkę szmerliwą
wiklin — zmieniony przez żywioł —

2

To mógł być Płock lub Tarnobrzeg.
Widziałem starca jak modrzew —

widziałem chłopca — był brzozą
szumiącą ponad powodzią,

czułem jak z polska na Wiśle
kochali piach na tej wyspie.

3

Ziemio zabrana jak młodość.
Ziemio, ach ziemio pod wodą,

Ciebie nie oddać żywiołom,
wrócić jak sercu wesołość.

Pustko wiklinna i ptasia —
wśród wód jak księżyc — lecz nasza.

O NOCY W GÓRACH

„Siądź tu o zmierzchu sierpniowym.
Nad tobą ze śniegu skrzy się
pułap tak dziwny jak księżyc
idący niebem o świcie."

„Myślisz — śnieg w perły się zmieni,
i w krople, które opadną,
abyśmy wzrok rankiem wznosząc
gwiazdę ujrzeli ostatnią?"

O ŹRÓDLE W WARSZAWIE

Wisła tu była, odeszła.
Ludziom tę ziemię oddała.
Tak pośród domów śródmieścia
skarpa wiślana i skała.

Z kamiennej piersi tej ściany
wody trysnęła gałązka.
Byłem i oczy przemyłem
w tym źródle wiecznym jak Polska.

BORYS RIURIKOW

KTO TO JEST POZYTYWNY BOHATER?

„Towarzysz Stalin wskazywał: „...Teoretyk tej czy innej klasy nie może stworzyć ideału, którego elementy w życiu nie istnieją... może on tylko dostrzec elementy przyszłości i na tym gruncie teoretycznie stworzyć ideał, do którego ta czy inna klasa dochodzi w praktyce. Różnica polega na tym, że teoretyk wyprzedza klasę i wcześniej od niej dostrzega zarodek przyszłości" *).

Literatura burżuazyjna w określonym stadium rozwoju okazuje się niezdolna do stworzenia silnych, bogatych wewnętrznie charakterów, uparcie zdążających do celu. Osobowość rozsypuje się, a charakter traci swoją ważkość. Rzeczywistość burżuazyjna — jeśli stać na jej gruncie, nie zaś walczyć przeciwko niej — nie zawiera postępowego ideału, bez którego nie może być wielkich ludzi, wielkich charakterów. Dlatego burżuazyjna literatura musi się obyć bez bohatera, jej postacie charakteryzuje bierność, małostkowość pobudek, brak wytkniętego celu.

W epoce przejściowej od socjalizmu do komunizmu i związanego z tym wielkiego przypływu sił narodu, rośnie — jak nigdy — znaczenie bohatera - wzoru dla szerokich mas.

Pisarze radzieccy, opierając się na doświadczeniu życia i idąc śladami pięknych tradycji rosyjskiej literatury klasycznej, umieli stworzyć wspaniałe postaci, które stały się wcieleniem wielkości i piękna idei komunizmu, które są natchnieniem milionów ludzi nie tylko w Kraju Rad, lecz i poza granicami, zwłaszcza w krajach demokracji ludowych.

Nie na próżno żyjący

Na czym polega trafność tych postaci? Wydaje się, że dla bardzo różnych i niepodobnych do siebie bohaterów wspólne jest to, że twórcy ich potrafili wybrać główne i decydujące cechy charakterów, obnażyli najbardziej zasadnicze, najgłębsze motywy ich działania.

Indywidualność bohatera — to nie ciasne psychologiczne pojęcie. Nie należy rozumieć jej jako zbiór indywidualnych psychologicznych cech, jako przeciwstawienie tych cech innym. Określoność bohatera—to przede wszystkim określoność i precyzyjne ustawienie jego pozycji w życiu społecznym, jasność poglądów, konsekwencja i niezłomność w walce o te poglądy. Taka określoność jest warunkiem ujawnienia całego bogactwa duchowego życia człowieka.

Charakter powinien ujawniać się w całym swoim bogactwie, bezustannie rosnącym w warunkach socjalizmu. Trzeba tu dodać, że wielostronność nie równa się chaotyczności...

Literatura socjalizmu jest przeciwieństwem dekadenckiej schyłkowej literatury, która głosi rozdwojenie jaźni, a złożoność rozumie jako współistnienie wzajemnie wykluczających się postaw. Prawdziwe bogactwo charakteru nie leży w psychologicznym zagmatwaniu, w grze drobnych namiętnostek. Dekadenci lubili pisać, jak zło i małostkowość godzi się z dobrem. Zagubiwszy kryteria ocen moralnych wartości charakteru, dekadencka literatura gadaniną o złożoności charakteru usprawiedliwiała tolerancyjny, pojednawczy stosunek do podłości i egoizmu. Duszę człowieka traktuje się jak otchłań czarnych sił, nad którymi nie panuje rozum ani wola; kotłujące się w tej otchłani żywioły poetyzowano i upiększano i wszystko to pod pokrywką złożoności charakteru, wielostronności natury itd. itd.

Określoność charakteru rozumiemy wcale nie jako podciąganie wszystkich rysów charakteru pod jeden strychulec. Radzieckiemu literaturoznawstwu przypadło zadanie przezwyciężenia burżuazyjno - idealistycznych teorii kłamliwie traktujących problem typowości, problem uogólnienia w obrazie artystycznym. Zgodnie z niektórymi takimi teoriami typowość powstaje drogą doboru podobnych zjawisk i maksymalnego wyrugowania innych. W ten sposób rysy indywidualizujące są zawadą przy typizacji, a typizację rozumie się jako abstrakcję, uwalniającą od konkretnych, indywidualnych cech.

Zamierzone unikanie rysów niewygodnych przy tworzeniu teoretycznego schematu zdarza się dotychczas i w praktyce pisarskiej, i w działalności naszej krytyki. Ale taka „metoda" zabija charakter, pozbawia go siły. Niedocenianie indywidualności, specyfiki charakteru, cech osobistych i niepowtarzalnych, swoistych dla danego obrazu stanowi właściwość niektórych utworów ostatniego okresu. Poza główna, określającą cechą — nie ma charakteru; — lecz charakteru nie ma i wówczas, kiedy określająca zasada staje się abstrakcją, gubi żywe cechy i konkretne przymioty.

Nasi pisarze idą drogą życia, a nie drogą teoretycznych schematów; przedstawiając obraz bohatera, pokazują nie to, co drobne i przypadkowe, lecz to, co istotne w jego postawie i w jego zachowaniu. Tym bardziej ważne jest zadanie przezwyciężenia wszystkiego, co przeszkadza literaturze realizmu socjalistycznego tworzyć nowych bohaterów, wcielających piękno naszej rzeczywistości.

Kosmopolityczna krytyka, atakując założenia sztuki radzieckiej, kierowała swoje ataki zwłaszcza na przodujących bohaterów naszej literatury. Nosiciele antypatriotycznych nastrojów występowali przeciwko typowi wysoce ideowego człowieka radzieckiego, za wszelką cenę starali się go upokorzyć, i w konsekwencji pchali pisarzy na drogę burżuazyjnej sztuki z jej niewiarą w człowieka, niedocenianiem jego możliwości.

Bieliński mówił, że realizm odtwarza rzeczywistość w jej możliwościach. Realizm literatury radzieckiej pokazuje człowieka w jego możliwościach. Lecz to są już nowe, socjalistyczne, komunistyczne możliwości. Dążymy do stworzenia artystycznych typów, uosabiających tendencje naszego rozwoju, bezgraniczne możliwości wzrostu i duchowego bogacenia się człowieka radzieckiego.

Gorki pisał do Piatnickiego: „Jutro zacznę drugą sztukę... Napiszę ją świetnie, przysięgam wam. Będzie poetycka, z pasją, będzie w niej bohater z ideałem". W drugim liście Gorki donosi o zamiarze napisania cyklu sztuk: „Jedna — życie inteligencji, kupa ludzi bez ideałów i nagle! — pośród nich jeden — z ideałem. Złość, trzask, wycie, hałas". Bohater z ideałem Gorkiego przeciwstawiał się burżuazyjno - inteligenckiemu środowisku z jego wstecznymi, reakcyjnymi dążeniami.

W naszej literaturze bohater z ideałem reprezentuje całą społeczność radziecką, prowadzi za sobą tych, którzy nie dość jasno ów społeczny ideał pojmują, dla których nie jest on jeszcze czynnikiem dość mobilizującym.

Tworząc bohatera, pisarz wciela w niego ważne, istotne cechy obiektywnej rzeczywistości. Nie tylko pomaga on poznać te cechy, lecz czyni je przedmiotem przeżycia estetycznego. Przecież dzieło sztuki jest nie tylko narzędziem poznania, rodzi jednocześnie poczucie piękna, rozwija je, umacnia, wzbogaca.

Oczywiście, ideał estetyczny wyraża się w całym systemie obrazów, w całej panoramie życia; lecz dla jego uosobienia wyjątkowe znaczenie mają postacie bohaterów, obarczonych w akcji utworu głównym ciężarem ideowym, postawionych w centrum wydarzeń.

Dyskusja nad tym, jak ma być przedstawiony bohater — jest jednocześnie dyskusją o podstawach estetyki, o założeniach realizmu socjalistycznego.

Piękno bohatera — to poznane i wcielone przez pisarza piękno nowego ustroju społecznego, piękno naszego człowieka, jego życia wewnętrznego. Realizm socjalistyczny wymaga, aby nowe pokazane było w całej sile, aby żądać od bohatera czynów na jego miarę. Nie trzeba się bać postawić przed nim wielkich, „przerastających jego siły" zadań — w praktyce radziecki człowiek takie zadania rozwiązuje na każdym kroku. Niech w takim trudnym działaniu, przezwyciężaniu przeszkód, w walce z nosicielami wrogich i zacofanych poglądów ujawnia się człowiek - gospodarz i twórca nowego życia.

Z punktu widzenia problemu charakteru radzieckiego człowieka ciekawa jest powieść P. Pawlenki „Szczęście" O powieści tej pisano już wiele. Pragniemy poczynić tylko jedną uwagę. Gdzie jest kulminacyjny moment powieści, gdzie najpełniej wyraża się charakter Woropajewa, istota całego jego postępowania? Jednym krytykom spodobała się najbardziej scena, w której Woropajew prowadzi kołchoźników do roboczego natarcia. Innym — ostrość jego starcia ze zbiurokratyzowanym działaczem Korytowem. Woropajew napada na nierobów, gani tych, co stracili głowę, piętnuje samoluba, który uwił sobie ciepłe gniazdko. Ale największe męstwo przejawia on w zetknięciu z nieszczęściem dziecka. Woropajew trafia do dziecięcego sanatorium na choinkę noworoczną i niespodziewanie spotyka się z dziećmi — kalekami — bez rąk, bez nóg, niewidomymi. To jest dla niego najtrudniejsza próba. Dzieciarnię męczy myśl o jej niepełnowartościowości. Woropajew niczego nie łagodzi, nie stara się odwrócić uwagi dzieci od ich kalectwa.

Woropajew rozbudza w dzieciach wiarę we własne siły; apeluje do najlepszych wartości moralnych, które są właściwe także i kalekom. Wychodzi z założenia o pełnowartościowości człowieka w najczystszym i najwyższym znaczeniu tego słowa. P. Pawlenko naraża bohatera na największe trudności i pokazuje, że w samym życiu, w samych ludziach tkwią możliwości ich przezwyciężenia.

Z gruntu niesłuszne jest przeciwstawienie postaci Woropajewa innym postaciom radzieckiej literatury a szczególnie postaci Batmanowa z „Daleko od Moskwy" W. Ażajewa. Rysy duchowego bogactwa narodu odtwarzają dziesiątki najróżniejszych postaci radzieckiej literatury. Batmanow — to człowiek, który mężnie i celowo pokonywa trudności. Powierzony mu odcinek pracy uczynił szkołą obywatelskiego myślenia i obywatelskiego stosunku do pracy. Poezja tej postaci — to poezja rozumnego, konkretnego czynu, poezja działania rozjaśnionego płomieniem silnej umysłowości i wytężonej woli.

Od czego właściwie rozpoczyna Batmanow? Od wyraźnego przeciwstawienia swojego stanowiska pozycjom ludzi zacofanych, opieszałych, nie rozumiejących potrzeb państwa i nie wiedzących, jak je urzeczywistniać. Zaczyna od bolszewickiej analizy sytuacji. Odrzuca wszystko, co przeszkadza, na nowo wybiera i ustawia ludzi. Precyzując główne trudności, ukazuje drogi ich przezwyciężenia. Radziecki, socjalistyczny rozmach łączy z bolszewicką rzeczowością. Każde z rozwiązywanych przez niego zagadnień — to zagadnienie na wskroś praktyczne, ale zarazem i teoretyczne, i zasadnicze. Tu rozwiązuje się problem wzajemnego stosunku starego i nowego, stosunku nauki i praktyki, zagadnienie wykorzystania możliwości tkwiących w naszej radzieckiej rzeczywistości.

Odsłaniając charakter bohatera literatura radziecka pokazuje, że stoi on rzeczywiście w samym centrum wypadków, i to nie jako świadek, lecz jako aktywna siła rozwoju wydarzeń...

Dobrolubow pisał o żywej solidarności, która pojawia się w społeczeństwie w stosunku „do ludzi potrzebnych w danym okresie, nie próżno żyjących na świecie".

Takich właśnie ludzi, potrzebnych w określonej epoce, walczących o swe ideały i porywających innych swym przykładem, odtwarza literatura realizmu socjalistycznego.

Bohater bez skazy

W powieści „Żniwa" H. Nikołajewej jest postać komsomolca Aloszy — natura czysta i poetyczna. Wydaje się, że ów bohater ma ważne, zasadnicze znaczenie w twórczości H. Nikołajewej. Narzuca się zestawienie postaci Aloszy z Olegiem Koszewojem. I jeden, i drugi urodzili się, kiedy powstawały projekty stalingradzkiej fabryki traktorów i Magnitogorska, kiedy budował się Dnieproges, wyrastały pierworodne budowle stalinowskich pięciolatek. Różne były losy chłopców, różne warunki ich rozwoju, rozmaicie ujawniły się wspaniałe walory ich dusz. Lecz przy wszystkich różnicach łączy ich wielka czystość moralna. Są oni wcieleniem najlepszych wartości młodego pokolenia, którego rozwój obyczajowy dokonywał się już w warunkach socjalizmu, którzy do pierwszej klasy szkoły weszli już w społeczeństwie socjalistycznym. Byli oni wolni od zatrutych wpływów starego świata; dla nich były nie tylko naturalne — lecz jedynie możliwe — proste i czyste stosunki między ludźmi. Przywykli do myśli, że u nas innego ustroju — prócz socjalistycznego — nie ma i być nie może, że praca dla wspólnego dobra — to naturalna treść życia każdego radzieckiego człowieka. Alosza jest uporczywy. O nim mówią: niby miękki, otwarty, a nie zegniesz. Pomaga on w nowy sposób rozwiązać skomplikowane zadanie stworzenia w pracy kolektywu kołchozowego. To prosta, głęboka, całkiem rosyjska natura. W charakterze Aloszy przebija uporczywość i zdecydowanie, bez których nie ma bohatera; utalentowanie i wewnętrzna delikatność, które rozwijają się na gruncie takiej stanowczości.

Spotykaliśmy w krytyce próby wyjaśnienia słusznego i prawdziwego dążenia radzieckich ludzi, żeby ujrzeć w roli bohaterów naszej literatury pełnowartościowych, zdrowych moralnie ludzi. Alosza to typ wyróżniający się właśnie moralnym zdrowiem. To pozytywny bohater, nieskazitelny, a przy tym zachowujący całą swą wiarygodność i prawdę życiową.

Tacy ludzie każą myśleć o nowych stosunkach między kolektywem a jednostką. Znikły w ich świadomości przeciwieństwa między interesem osobistym a społecznym. W takich postaciach, jak Oleg Koszewoj, Alosza — namacalnie widzimy, jak dziś przerasta w jutro, i w dzień dzisiejszy stanowczo wkracza jutrzejsza rzeczywistość.

Tak, Alosza to piękny, nieskazitelny chłopiec, i pisarz — wierny prawdzie życia — ma prawo, żeby wśród plejady jego bohaterów byli tacy nieskazitelni bohaterowie. W nich bowiem wyrażają się najlepsze cechy dzisiejszego człowieka. To nie jest ani fantazja, ani blaga, lecz prawda naszej rzeczywistości. I kiedy widzimy, jak młodzież wierzy Aloszy, jak Piotr Bortnikow gorliwie podąża śladami Aloszy i stara się być uświadomionym, wytrzymałym i sprawiedliwym, widzimy, jak głęboko wtargnęły w życie nowe stosunki socjalistyczne, przerastające w komunistyczne.

Mówiąc o bohaterze bez skazy, zdajemy sobie sprawę z istnienia niebezpieczeństwa lakierowania życia; tam, gdzie Nikołajewa osiągnęła sukces, inni mogą ponieść klęskę. Wydaje się, że kryterium powinna tu być wierność życiu, prawdziwość. Innych zaś bohaterów książkowych trzeba krytykować nie za „nieskazitelność", lecz za koturnowość i nienaturalność, za odstępstwa od mądrej i prostej prawdy życia.

Pragnąłbym przypomnieć piękne słowa protestu Makarenki przeciw artykułowi krytyka F. Lewina, z błędnych pozycji atakującego powieść „Chorągwie na wieżach": „Nie przyjmuję waszego zarzutu, jakoby w mojej powieści było za wiele pięknych postaci — właśnie takimi widzę dzieci. To moje prawo. Dlaczego nie zarzucacie Lwu Tołstojowi, że stworzył tak wiele pięknych sylwetek w „Wojnie i Pokoju"? On kochał swoją klasę — ja kocham moje społeczeństwo — i wielu ludzi wydaje mi się pięknymi"...

Robotnik jest mądry

Kraj socjalizmu idzie drogą niebywałego postępu technicznego. Na każdej budowie, w każdej fabryce, w kołchozach i ośrodkach maszynowo - traktorowych działają rozumne i precyzyjne maszyny, które coraz lżejszą czynią pracę człowieka. Wielką zasługą radzieckiej literatury, wskaźnikiem jej duchowej dojrzałości i dowodem żywości szlachetnych, humanistycznych tradycji rosyjskiej literatury jest fakt, że prawie nie przeżywaliśmy u nas zafascynowania „przemysłowością", abstrakcyjnym „technicyzmem", zachwytu dla piękna i potęgi maszyny w ogóle.

Dla naszego pisarza uprzemysłowienie — to proces określony potrzebami człowieka radzieckiego, humanistyczny. Postęp techniczny ma ogromny i szlachetny wpływ na kulturę, na całe duchowe życie robotnika.

Pisarz radziecki, uzbrojony w metodę realizmu socjalistycznego, widzi pracę — jak i całe nasze życie — w rozwoju, widzi nie tylko wczorajszy i dzisiejszy, ale również jutrzejszy dzień pracy.

Pisarza pociąga nie tylko piękno tworzenia nowych dóbr. Przy odtwarzaniu tego zjawiska nie mniej ważne jest piękno rozumnej, stojącej na wysokim poziomie, produktywnej pracy. Przed naszymi oczami niepomiernie rośnie intelektualna treść procesu pracy. Praca nie jest po prostu stratą energii, mechanicznym wykonaniem obowiązków produkcyjnych — to szlachetne, twórcze działanie, o ogromnym znaczeniu państwowym, przemyślane, celowe, nie pozbawione poezji. I tutaj rozwój przebiega w walce przeciwieństw, w starciach starego z nowym.

Radziecka literatura pokazuje klasę robotniczą jako środowisko ze wszech miar pobudzające do myśli twórczej, do nowatorstwa. Ta, nowa już, klasa robotnicza, o której mówił towarzysz Stalin, daje dowody swego obywatelskiego uświadomienia, zrozumienia walki o komunizm, w pierwszym rzędzie drogą świadomej pracy. Stalin uczy, że należy śledzić z uwagą, jak rodzi się współzawodnictwo, bacznie obserwować wewnętrzne źródła wzrostu inicjatywy w pracy. Pokazać, jak ludzie radzieccy rozwiązują techniczne problemy — nie znaczy to bynajmniej — opisywać wszystkie specjalne strony tego problemu...

Pokazać robotnika jako gospodarza przemysłu, pokazać stachanowca stale ulepszającego proces produkcyjny — znaczy pokazać piękno śmiałej i twórczej myśli a dalej — odtworzyć skomplikowaną dialektykę myśli i uczuć człowieka. Nie przypadkowo mówimy o myślach i uczuciach. Wszelka walka o nowe związana jest z napięciem myśli, ze skomplikowanymi i bogatymi przeżyciami. Walka o nowe w pracy wymaga takiego napięcia wszystkich duchowych sił człowieka, do tego stopnia pomaga ujawnieniu i rozwinięciu wszelkiego rodzaju zdolności, umysłu, temperamentu, poczucia piękna, że aż wstyd czytać niektóre utwory z ich zimnymi opisami martwych maszyn, przesłaniających człowieka.

Starcie metod technicznych tylko wówczas jest tematem literackim, kiedy wyraża starcie poglądów, charakterów, kiedy daje możliwości wykrycia nowego w człowieku, zobaczenia jego bogactwa.

Nagradzając robotników - nowatorów, kołchoźników, inżynierów, rząd zwraca uwagę na ich wybitne zasługi i osiągnięcia. A w naszej literaturze często nie dostrzegamy tego wybitnego znaczenia dnia powszedniego.

Przykro czytać również takie utwory, gdzie przodujący robotnik przedstawia się mętnie i blado, jego postać została zubożona, a praca pokazana szaro, powszednio, bez żadnego patosu...

Realizm socjalistyczny żąda, aby człowiek pracy był pokazywany w pełnym wymiarze, jako patriota, nowator, działacz społeczny.

W pracy specjalnie dobitnie wyraża się kolektywny charakter twórczej aktywności naszego człowieka. Niekiedy pisarze przedstawiają kolektyw fabryczny w ten sposób, jakby do czasu powstania ich bohaterów nikt nie myślał o współzawodnictwie, ani o wprowadzeniu nowych form pracy. Przez dziesiątki lat nagromadziła się wielka skarbnica doświadczeń socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Pisarz wprawdzie dopiero co zobaczył nowe zjawiska, które zafrapowały go i zachwyciły, ale przecież robotnicy nie jeden rok rośli w nowatorskim środowisku, gdzie praca zespala się z nauką, gdzie każdy dzień jest wyższym szczeblem w szkole obywatelskiego stosunku do produkcji. Tak jak Batmanow przeszedł szkołę pracy państwowej i partyjnej, tak robotnik radziecki przeszedł szkołę socjalistycznej pracy. Wielu pisarzy pisze o dniu dzisiejszym, nie sięgając do jego prehistorii, co utrudnia im również widzenie przyszłości.

W wielu książkach, poświęconych pracy, produkcyjna działalność robotników oderwana jest od życia, jakby stachanowcy nie mieli domu, rodzin, dzieci, zainteresowań osobistych.

Wolna, twórcza praca nie pęta sił człowieka, lecz je wzbogaca, oddziaływa na ludzi w kierunku wszechstronnego rozwoju. Kulturalna, zorganizowana, związana z nauką praca wyciska piętno na całym życiu człowieka. Praca stała się wielkim narzędziem w rozwiązywaniu postawionego przez Partię zadania komunistycznego wychowania, pomaga wychowywać człowieka radzieckiego w duchu kolektywu, umacnia świadomość i oddanie wspólnej sprawie. Obserwujemy, jak w pracy sprawy osobiste i społeczne zlewają się w jedno. Owa szlachetna rola pracy, która pomaga człowiekowi podnosić się stale na wyższy poziom, iść stale naprzód, jest źródłem wspaniałego piękna, z którego literatura radziecka nie umie jeszcze w pełni czerpać.

Komuniści

Gdy mówimy o postaci bohatera pozytywnego, przede wszystkim, oczywiście, zwracamy się do postaci bolszewika, organizatora walki o komunizm, przywódcy mas ludowych. Znaczenie tych postaci polega na tym, że w nich właśnie znajduje wyraz artystyczny największe prawo naszej epoki — przodująca rola komunistycznej partii w walce narodu.

Krytykując pierwsze wydanie „Młodej Gwardii" Fadiejewa, opinia partyjna zwróciła uwagę pisarzom, że nie podobna stworzyć prawdziwego obrazu życia naszego społeczeństwa bez ukazania przodującej roli partii.

Z radością przyjęliśmy nowe, poprawione i uzupełnione wydanie „Młodej Gwardii". Krytyka ze strony prasy partyjnej pomogła pisarzowi pokazać rolę organizacji partyjnej zgodnie z prawdą życiową. Książka A. Fadiejewa stała się głębsza, stosunki między bohaterami nabrały przejrzystości i pełni, której im przedtem brakowało; cele i formy walki patriotów radzieckich pokazane zostały z całą wyrazistością.

Jedynie pokazując partię jako ogromną siłę organizującą, której wpływ ogarnia wszystkie dziedziny życia, której kierownictwo jest warunkiem powodzenia na wszystkich odcinkach, jedynie tworząc mocne, piękne, artystyczne postacie ludzi partii będziemy wierni prawdzie historycznej, prawdzie socjalistycznej rzeczywistości.

Wypełnienie tego zadania wymaga głębokiej znajomości życia, twórczego podejścia; szablonowość i schematyzm przy tym temacie od razu, w założeniu, przeczy bogactwu i różnorodności realnych stosunków między partią i masami, jakie spotykamy w życiu.

Dlatego też jeśli w wielu utworach sekretarz komitetu partyjnego jest stanowiskiem, które należy obsadzić, a nie człowiekiem prawdziwym, żywym reprezentantem wielkich idei, wielkiego doświadczenia w kierowaniu masami — nie można w tym nie widzieć odstępstwa od prawdy życia.

W wielu utworach działacz partyjny jest przedstawicielem jakiegoś organu kontrolno - orzekającego lub decydującej instancji. Sam stroni od żywej, organizacyjnej działalności, a przede wszystkim pochwala lub gani sprawy i postępowanie ludzi. Taki jest szczególnie Makarow z „Krużylichy" W. Panowej; bardziej przygląda się działaniu innych, niż sam działa. Jeśli już bohater działa, nie zawsze robi to co trzeba i tak jak trzeba. Słuszne miejsce działacza partyjnego w życiu, konkretne stosunki jego z ludźmi radzieckimi pokazane są niesłusznie i jednostronnie. Działacz partyjny odpowiada za wszystko, za gospodarkę, kulturę, szkoły, za pracę organizacji partyjnych. Są tacy działacze, którzy wszystkie obowiązki biorą na siebie. Stają się wtedy administratorami i urzędnikami, a przecież przede wszystkim działacz partyjny powinien być przywódcą mas, jego zadaniem jest praca z ludźmi, organizowanie i wychowywanie ich, wpływanie poprzez komunistów na wszystkie ogniwa naszego życia.

Głosy krytyki brzmiały często tak: załóżmy, że w powieści postać sekretarza rejonowego jest martwa, nieudana, lecz są tam szeregowi komuniści, a za nimi również stoi partia. Istotnie, niesłuszne byłoby sprowadzanie olbrzymiego tematu partii do problemu przedstawienia działacza partyjnego. Ale musimy

Dokończenie na str. 7-ej

*) J. W. Stalin — Dzieła, tom I. wyd. polskiego, str. 134 — 135.

ANDRZEJ BRAUN

Spotkanie z Dymitrowem

O, nie zapomnę was, obłoki białe
bzów, gdzie okryła mnie liliowa okiść,
gdy na kamienne wille spoglądałem
jak na dziewczęta, którym srebrne loki
przypięły sady, w pierwszą noc w tym mieście
dokąd pędziłem kilometrów dwieście.

Jeszcze pulsując szumem samochodu
jak ptak chwycony w locie, albo z bliska
muszla do ucha przytknięta w ogrodów
pianie, w gościnie u burmistrza Lipska,
z dala od śpiewu młodych, od barw, tłumów,
nie spałem, jeszcze pełen tego szumu.

Na starych targach lipskich wolna młodość
miała parlament, rozdając za darmo
uśmiech i tańce, co były nagrodą
za przeszłość niby sterta głazów czarną —
jak pomnik, który nad miastem górował.
Uliczka miała imię Dymitrowa.

Obok gmach sądu sterczał skamieniały
w strachu, jak w dzień ów, kiedy tu przed światem
jego płomienne słowa podpalały
rewolucyjne prochy, rwały kratę,
i zaćmiewając Neronów pochodnie,
na twarze sędziów wywlekały zbrodnie.

Nie, parlamentów gniew nasz nie podpala,
ale zdmuchuje je z ziemi powierzchni.
Lud podrze księgi praw i runie sala
sądowa. Göring — oskarżyciel pierzchnie,
kiedy Dymitrow prawdy swoich stwierdzeń
będzie dochodził w drugiej Norymberdze.

Dziś łamać muszą swoją konstytucję,
sztandar trójbarwny jak zasłona spada,
aby idącą wstrzymać rewolucję,
bo dla nich wolność, to już tylko zdrada.
Przeciwże komu lud miałby knuć spiski?
Otwarcie w bramy bije tłum paryski.

Już nie zapomnę was, kwiatów obłoki,
od których ciąży jak od wina głowa.
Ciemny gmach sądu, gdzie znów słyszę kroki,
z więzienia Santé — kroki Dymitrowa —
gdy tu, na młodych naszych parlamentach,
pod bzu kiściami śpiewają dziewczęta.

IV Parlament FDJ, Lipsk 1952 r.

JERZY PIÓRKOWSKI

O wielkiej sztuce spawania

I

Kiedy Lipiński wychodzi z warsztatu, jest już zazwyczaj szarawo na dworze, choć to przecie lato i mrok długo ociąga się przestraszony codzienną ogromną jasnością słońca. A przecież do ulicy Krochmalnej, na której znajduje się właśnie nasz bohater, łatwo dopaść ciemnościom. Niewiele się tutaj na pierwszy rzut oka zmieniło od czasu styczniowych dni 1945 roku. Gdzieś daleko huczy, przelewa się życie nad odbudowywanym śródmieściem. Bliżej rzężą motory, oblewa nagą ziemię jaskrawy, wytężony blask ogromnych lamp. To pracuje miarowo, niezmordowanie budowa Pałacu Kultury i Nauki. Do Krochmalnej ów rytm budowy, targający ogromną większością warszawskich ulic—jeszcze nie dotarł. Wąska uliczka przypomina zaciszną, mroczną taflę stawu, leżącą pośrodku lasu ogarniętego pożarem. Od Towarowej, od Mirowa, od Królewskiej huczy ogień, dochodzi żar wielkiej budowy. Zewsząd wyrastają czerwone słupy domów, włóczą się po niebie echa tysięcy łoskotów, gwizdów i pojękiwań motorów, ludzi i maszyn. Nad Krochmalną wisi niby puklerz — cisza i martwota. Ale jest to powierzchowny obraz robotniczej ulicy, bo oto ulicą kroczy — spawacz Lipiński. Znowu niby nic szczególnego. Spawaczy mamy setki w Warszawie. Każdy przyzna: piękny fach. Ręka musi

Feliks Lipiński

być pewna jak u tokarza, a czuła jak u zegarmistrza. Wzrok orli — co nie chybi ani o włos. Niechże w codziennej łunie warszawskiej roboty zabraknie ich przenikliwych spawalniczych płomyków, a cała budowa zakrztusi się jak ogień przyduszony kocem.

Dumni więc są ze swego fachu warszawscy spawacze.

Lipiński ma na imię Feliks. Po ludzku oznacza to: szczęśliwy. A jest szczęśliwy wówczas, gdy podgarnia z zadowolenia czub włosów i wyrusza na podbój warszawskiej ulicy.

Znają spawacza wielkie białokamienne domy położone przy placu Konstytucji. Dobrze dzisiaj wspomnieć o owych szalonych od roboty MDM-owskich dniach i nocach w ten sam sposób, w jaki stary wiarus opowiada o swoich frontowych wyczynach.

Zna Lipińskiego i warszawskie niebo. Dotykał go nieledwie, zawieszony na siedemnastym piętrze „Prudentialu". Szła wówczas szparko wczesna zima i trzeba było ubiec ją w pochodzie — aby robota we wnętrzach gmachu mogła trwać przez całą zimę.

Ma więc słuszność Lipiński, kiedy mówi o Warszawie jak o znajomej, wiernej dziewczynie. Widział bowiem, jak wróbel zawieszony pod chmurą, całą jej wstrząsającą, niezapomnianą piękność. Piękność, której się nigdy nie zapomina. Wiemy bowiem wszyscy jak to bywa w życiu:

— Bez żalu człowiek porzuca domy dobrobytu i łatwego użycia, ale jak pies waruje przy wspomnieniach, przy ruinach, które owiała jego tragedia, oblała własna krew serdeczna.

Lipiński, choć jest stosunkowo młody, bo liczy niewiele ponad trzydziestkę, należy do tego pokolenia warszawskich proletariuszy, które w pułkownikowskiej Polsce zarabiało dwa złote pięćdziesiąt groszy na tydzień. Biło młodziutkiego robociarza, szczęśliwego z imienia, owo nieszczęsne życie po żebrach. Znienawidził więc je rychło. A przecież chodził, wyciągał ręce do każdej roboty, wyciągał szyję, kiedy usłyszał syk spawalniczego ognia. Lipiński chciał zostać spawaczem. Kochał ten zawód.

Lipiński, jak miliony innych, ręce sobie boleśnie oparzył. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż u wielu ludzi, zaszczutych przez kapitał, coś pękało w piersiach? Że niejeden poczynał wilczym wzrokiem spoglądać na świat? Niejeden obijał się bezradny, nic nie rozumiejący w żelaznych obręczach wyzysku i krzywdy.

Lipiński odczuł to wszystko na własnej skórze. I nie tylko on: miliony Lipińskich, robotników i chłopów, z których serc, dusz, umysłów nie zetrze się ani strząśnie goryczy doświadczeń i przeżyć, jak popiołu z papierosa.

Trudna jest codzienna budowa warszawskich pięter. Ale jakże po stokroć trudniejsza jest odbudowa człowieka, jego godności, jego wiary, poczucia mocy i siły, które próbował splugawić i podeptać kapitalizm.

Piękne niejednokrotnie są warszawskie piętra, budowle całe. A o wiele piękniejsze jest to, co jak rzeźba odżywa w swym pełnym, człowieczym kształcie w sercach, w umysłach, w duszach nowych ludzi, ludzi epoki socjalizmu. Do takich to ludzi należy spawacz Lipiński. Potrafił on, szczęśliwy, strzepnąć złą przeszłość jak piasek z ramienia. I to nie tylko z siebie,

II

Niedobrze było z młodzieżą w warsztatach Biura Produkcji Pomocniczej ZBM na Krochmalnej. Młodzi chłopcy chodzili samopas. Przyszli oni do pracy niedawno, ale mieli za sobą wojenne lata — Hitler zburzył nie tylko mury warszawskich domów. Zdruzgotał i dziesiątki tysięcy warszawskich rodzin. Wielu młodych robotników żyło samotnie.

W warsztatach pracowali spawacze, ślusarze, lastrikarze. Starsi doświadczeniem i wiekiem fachowcy — i gołowąsy. Zwyczaj od niepamiętnych lat mówił, iż nauka zawodu — to nie taka prosta ani łatwa sprawa. Trzeba było zazwyczaj najpierw poterminować za panią majstrową —— dźwigając kosze z gospodarskimi sprawunkami. Potem przez wiele miesięcy — a nawet lat odwozić wykonywaną robotę i zwozić żelastwo, gwoździe, węgiel. Potem dopiero po latach całych, powolutku, powoli niby kropla po kropli dostępować wielkiego wtajemniczenia: postukiwania młotkiem, polerowania części.

Na Krochmalnej nie było co prawda majstrowych, ale pracowali dojrzali ludzie, wychowani w wilczej, przedwojennej szkole życia.

Patrzyli więc obojętnie i pobłażliwie na młokosów. Nie ma co ukrywać ani też obwijać w bawełnę. Między młodzieżą a starszymi niejednokrotnie wyrastał mur wzajemnej wrogości.

Młodym było źle. Czuli się osamotnieni, jakby skrępowani. Oddawali więc swoją robotę, a potem rozglądali się po ulicy — za zaspokojeniem swojej ambicji.

Wtedy to spawacz Lipiński podszedł któregoś dnia do chłopców ze ślusarni i namówił kilku z nich na partię ping-ponga.

Delikatnie przy tym począł pociągać młodych ślusarzy za język. Chłopcy lubili młodego spawacza.

Powiedzieli więc bez ogródek o swoich goryczach i żalach. O swoim życiu, nierzadko bolesnym.

Był na przykład w ślusarni chłopiec o bystrych oczach, ale wątłym ciele: Roguski. Wszyscy przepychali go z kąta w kąt. Utarło się powszechnie, iż Roguski jest do niczego niezdatny. Pełnił więc funkcję chłopca na posyłki, przewoził żelazo, eksportował węgiel, a kiedy dopominał się nieśmiało o naukę, machano na niego ręką. W końcu Roguski począł „bumelować" raz i drugi. Podpił sobie z rozpaczy. Machnięto wtedy na niego już zupełnie ręką. Ale młody spawacz przypatrzył mu się kilkakrotnie, a potem pewnego dnia po pracy usiadł na ławce i zaczął łagodnie, spokojnie mówić.

Nastroszył się początkowo Roguski, ale rychło zmiękł jak wosk. Otworzył przed Lipińskim duszę i serce, opowiedział o swoim życiu bezdomnym od wielu lat. O przepędzaniu go z miejsca na miejsce. A potem o swoim wielkim pragnieniu — Roguski chciał zostać fachowcem: spawaczem.

Młody Lipiński wstrząsnął się cały. Ujrzał w nim odbicie bliźniacze do wielu swoich lat młodości. Więc jakże to, jest Polska Ludowa, robotnik jest wyzwolony w swej pracy, a tutaj obok, pod jego bokiem, tuż, jak zadra bolesna Roguski, który myślą i życiem codziennym trwa jeszcze w czasach jego znienawidzonej młodości?

Brygada młodzieżowa BPP ZBM podczas przerwy obladowej. Grupowy — czyta tekst referatu tow. Bieruta z VII Plenum KC PZPR

Niejedną godzinę w ciągu następnych dni przegadał z sekretarzem organizacji partyjnej młody spawacz. Nieraz odgarniał włosy w zastanowieniu. W końcu poszedł do ślusarni, zebrał wkoło siebie młodych i krótko ale gorąco namawiał ich do założenia młodzieżowej brygady.

Chłopcy początkowo byli oszołomieni, u niejednego z ust wyrwały się słowa niewiary:

— Albo to nam dadzą starzy pracować razem? Podstawią nam nogę jak nic, dadzą od razu tak trudną robotę, że nie damy sobie z nią rady...

Ale Lipiński miał i swoje argumenty.

— Nie bójcie się. Macie za sobą Partię, macie do pomocy mnie. Przy spawaniu zawsze wam pomogę. Ale głównie liczcie na siebie: czy potraficie stanąć jak mur jeden za drugim? Czy zrozumiecie, iż praca całej brygady to sprawa każdego z was?

Chłopcy spojrzeli po sobie badawczo. Nie było już długiej dyskusji. Wszyscy wyciągnęli ręce na znak zgody. Tak to założono na Krochmalnej młodzieżową brygadę ślusarską. W warsztacie początkowo zawrzało. Niejeden sarkał głośno.

— Dają im tylko łatwą robotę. My będziemy tyrać, a szczeniaki będą laury zbierać...

Ale okazało się wkrótce, że jest bodaj odwrotnie. Kiedy nastały wielkie dni MDM-owskie, cała brygada z uporem, od rana do nocy, dzień w dzień pracowała nad montowaniem poręczy. Lipiński był zawsze z nimi. Troskliwy, czujny. Mówił im to, co sam zrozumiał już dawno:

— Można pracować jak jeszcze wielu robi: zrobić swoje, zabrać forsę w kieszeń i być niby zadowolonym. A można robić inaczej, jak my robimy. Kiedy jeden odpowiada za drugiego. Kiedy jeden przed drugim w brygadzie nie ma tajemnic.

Któregoś dnia na zebraniu powstał i powiedział:

— Chcę moim starszym kolegom pokazać, że to nieprawda, co mówi się w warsztacie o Roguskim. Trzeba tylko podejść do naszej młodzieży z sercem. Oni w czasie wojny też nie jedli bułek z masłem. A przecież to nasza kość z kości, krew z krwi. Dlatego podejmuję się do Nowego Roku Roguskiego wyszkolić na pierwszorzędnego spawacza...

Na twarz Roguskiego jakby promień słońca upadł. Złapał za rękę Feliksa i już nie puścił. Potem razem całą brygadą poszli zakładać i spawać ostatnie balustrady na MDM-ie. Ciężkie były one nad podziw. Usiedli więc nieco zafrasowani. A Wyszyński Rysiek, brygadzista, powiedział:

— Gdzie siłą nie dasz rady, lepiej od razu pójść po rozum do głowy. Spróbujmy wspólnie chłopaki pomyśleć.

Pomyśleli. Dali radę. Odtąd zostali brygadą interwencyjną. Gdzie coś nawala, gdzie rwie się i pęka plan — tam jest młodzieżowa brygada. Tam idzie jak w dym Wyszyński, a za nim Sitarek. Mistrzak co to niedawno wrócił z wojska i z tego powodu jest nieco zarozumiały, i Skrzypczak, i Czochal.

Dzisiaj całe warsztaty dumne są ze swojej młodzieży. Przyszedł do nich pewnego dnia Lipiński.

— Chłopcy, nasi towarzysze — Rumuni mają niedługo święto swego wyzwolenia. Mamy do roboty ogrodzenia dla ich ambasady. Zrobimy im podarek, chłopaki?

A niechże spróbują zawistni rozbić brygadę! Niedawni opuszczeni, zahukani chłopcy skoczą im do oczu po kolei.

Przed kilku dniami weszło czterech z nich do pokoju sekretarza organizacji partyjnej, towarzysza Duchlińskiego, i stanęło nieśmiało przy drzwiach.

Duchliński uniósł zdziwiony brwi.

W warsztatach przyzwyczajono się już do śmiałości i buty swojej młodzieży. Wtedy Sitarek nieśmiało poprosił o deklaracje do Partii dla całej czwórki.

Duchliński pytał się ich tylko:

— A więcie, co to znaczy, chłopaki, być członkiem Partii?

Nie czekał długo na odpowiedź.

— Jakżeby nie, przecież znamy Lipińskiego!

III

— Ej, nie tak prędko, towarzyszu Lipiński, nie żegnajcie się ze mną.

Podnieśliście z ruin niejedno młode serce i duszę na swojej Krochmalnej. Bije ono i czuje. Roguski jest już innym człowiekiem. Ma cel w życiu. Rozumie, że pracuje w Polsce Ludowej.

Ale nie wolno nam zadowalać się wczorajszym czy dzisiejszym.

Rozbiliście przeklęty mur uprzedzenia i niewiary. Nauczyliście brygadę pracować ofiarnie, zahartowaliście ją niezgorzej. Nauczcie ją żyć! Warto jeszcze raz porozmawiać z towarzyszem Duchlińskim. Chłopcy tęsknią za sportem — trzeba im w tym pomóc. Wyszyński Rysiek rwie się do Technikum, choć mieszka w klitce jak komórka o betonowej podłodze. Jest wszędzie pierwszy ze swoją brygadą w robocie, ale warto, abyście gdzie trzeba uderzyli pięścią w stół. On sam patrzy tylko na proporczyk współzawodnictwa i mówi każdemu w zadumie:

— Mamy proporczyk. I wydrzeć go sobie tak łatwo nie damy.

Ale lastrikarze — to groźny przeciwnik...

Niechżeż, towarzyszu Lipiński, wasi chłopcy wiedzą, iż nie tylko pracują, ale i żyją w robotniczej ojczyźnie, która jest ich matką, a której oni są całą nadzieją i wiarą.

Wielka jest siła waszego spawalniczego szwu. Wielkie mistrzostwo waszej pracy. Ale jeszcze mocniej, jeszcze umiejętniej spawacie ludzkie serca i umysły. To najtrudniejsza robota. Dzięki niej mamy pewność, że uprzątniemy każdą ruinę materialną i ludzką. W jasnym gmachu będzie żył nasz naród dumny, utalentowany, wolny jak nigdy dotąd.

Nauczcie więc i tej sztuki ślusarską młodzież z ulicy Krochmalnej!

Jerzy Piórkowski

WITOLD ZALEWSKI

Kłopoty Piotrowskiego

Kiedy spółdzielcy z Rudowa między 1-szym a 4-tym sierpnia tego roku sprzedali do GS-u 245 kwintali zboża, wywiązując się jako jedni z pierwszych w województwie warszawskim ze swoich zobowiązań, znalazł się taki jeden z drugim „przyjaciel", który fałszywie krzywiąc twarz usiłował zasiać niezadowolenie: „i was państwo krzywdzi, a tyle obiecywali..." Taka już jest natura

Leszczyński: „Toć przecież już teraz widać, że piechtą traktoru nie dogonisz..."

przyduszonego wroga, że nie gardząc żadną bronią, z białego robi czarne; nawet o MDM-ie skrzeczy głosem zamorskiego spikera: „z potu polskiego robotnika powstają pałace dla komunistycznych dygnitarzy..." W Rudowie te głupie i pełne złości syki skutecznie głuszy gospodarski głos rozsądku. Należności trzeba odstawić, nikogo to nie minie; a że spółdzielcy potrafili wywiązać się z obowiązku wcześniej od innych, że teraz mają kilka stert do swobodnego gospodarowania, że ziarno selekcyjne na siew też już odłożyli, że część członków pobrała zaliczki w zbożu świeżo wymłóconym — to świadczy, na ich korzyść, o sprawniejszej organizacji, o większej wydajności, o znacznie szerszych możliwościach. Do tego najtrudniej przyznać się indywidualnym gospodarzom, ale to fakt najbardziej bijący w oczy: plony w spółdzielni zdecydowanie przeważyły najładniejsze zbiory u chłopów niezrzeszonych. Dawno nie uzyskano takiego urodzaju na tej dosyć jałowej ziemi płockiej. Spółdzielcy zebrali żyta: ponad 25 kwintali z ha, jęczmienia — 31 kwintali z ha. Do takiego rezultatu daleko nawet głównemu antagoniście spółdzielni, rozpartemu na trzydziestosześciohektarowych łanach, „panulkowi" Chorzewskiemu. „W nawozach jeszcze nie wszystka moc..." — tłumaczą dziennikarzowi spółdzielcy: Piotrowski, Klekowicki i Leszczyński — „chociaż podsypaliśmy, jak należy; jeszcze ważniejsza maszynowa uprawa — głęboka orka; a samo najpierwsze — to terminowa robota. U nas w zeszłym roku wszystko było zrobione na czas — podorywki, orki jesienne, siew. Wiosną już na początku kwietnia zasialiśmy jare, a indywidualni paprali się do końca maja..."

Ten rok, drugi rok wspólnej gospodarki, zapowiada spółdzielcom rudowskim jeszcze piękniejszę rezultaty niż 51-szy, za który dniówka obrachunkowa wybiła 23 złote bez paru groszy. Osiemdziesięciorowa działka, o której Piotrowski powiada, że za duża, zbyt wiele pracy kosztuje, ale inni zaraz oponują mówiąc, że taka właśnie musi być, krowa najmniej jedna w każdym gospodarstwie, świnie, owce, drób — to dodatkowe czynniki wzrastającej zamożności dawnych fornali pana Załęskiego, od 1945-go roku — nadziałowców, a od jesieni 1950 — spółdzielców. Mimo to oczy Piotrowskiego dość rozpaczliwie wypatrują pomocy, kiedy mówi: — „Wisimy na tej wadze całym naszym życiem i nie możemy się wahnąć ani w prawo, ani w lewo..." — i zaraz rozwija swoją myśl: — „towarzysz Bierut powiedział, że w sprawie kolektywizacji albo się idzie naprzód, albo do tyłu..."

Od chwili założenia w Rudowie spółdzielni produkcyjnej przez prawie dwa lata nie przybył ani jeden człowiek. Było trzynastu — jest trzynastu, a dookoła trzydziestu dziewięciu indywidualnych, z tego większość również nadziałowców, takich samych dawnych fornali, którym boleśnie odbijają się dworskie czasy. — „Tłumaczą się, że już mieli dość dzwonka za dziedzica, że nie chcą go więcej słyszeć..." — mówi Klekowicki, sołtys gromady Rudowo. — „A u was jest dzwonek?" — Śmieją się. — „Gdzież tam..." „No więc?..."

Trzynastu członków rudowskiego zespołu spółdzielczego ma 106 hektarów ziemi, w tym ładny obszar łąk z bogatymi złożami torfu. Warto by go wydobywać, choćby na własny użytek, bo z węglem bywają trudności, ale brak ludzi do pracy. Piotrowski, dawniej dworski ogrodnik, opracował przemyślany plan założenia plantacji warzywniczych, głównie kapusty — opłaci się to jak mało co — ale, jak teraz, brak byłoby rąk do uprawy; tak samo jak brak do pielenia buraków, które zarosły chwastem. Niejedna sprawa pięknie zaczęta, rozbija się o tę trudność: za mało ludzi... Ci, co są w spółdzielni, nie wszyscy jeszcze pracują jak należy, ale większość już się uaktywnia w robocie. Po noworocznym obrachunku nawet taki „bosy telefon", jak wdowa Kociemska, uwierzył, że każdy pracuje na siebie, nie na innych. Wszyscy też rozumieją, że tak jak lżej jest im zrzeszonym, niż przedtem w pojedynkę, tak jeszcze lepiej byłoby w większym zespole. Obciążenia w postaci różnych funkcji jednakowe są dla zespołu 13-osobowego, jak i dla 40-tu członków. Tu i tam potrzebny przewodniczący, księgowy, pastuch, chlewmistrz. I tu i tam pisze się na nich dniówki. W dodatku jeszcze jeden czynnik nagli spółdzielców do łączenia się z gromadą. Rudowo ma ziemie w szachownicy. Spółdzielnia powstała po sprawie gryfickiej, w okresie walki z lewackimi przegięciami.

— „A chcieliśmy przeprowadzić komasację, zastosować przerzuty..." — wspomina Piotrowski — „to komitet powiatowy nie zgodził się; wcześniej czy później wszyscy do was przyjdą, a przynajmniej nie będziecie robić rozłamu na wsi... Z ludźmi żyjemy zgodnie... Gadamy między sobą... Tylko co z tego? Czy długo można tak powtarzać: białe i białe, a on ci na to wciąż — czarne. Przecież się znudzi... Przychodzi chwila, że i nam, i im już się znudzi i to jest koniec... Tu trzeba, żeby z zewnątrz przyjeżdżali, tylko ktoś z góry może sprawą pokierować..."

— „Nieprawda..." — ostro przerywa Piotrowskiemu Leszczyński — „My sami tylko... Co z góry... Czy z góry znają nas, tak jak my się znamy? My wszystko wiemy, co kto myśli, do każdego możemy podchodzić od życiowej strony..."

„No tak" — Piotrowski łatwo przyznaje rację, ale szybko wraca na swoje pozycje. — „To słusznie. My się znamy — pięknie. Tylko przypomnij sobie tę babę w Bielsku, co wykrzykiwała, że rząd wcale tego nie chce — znaczy spółdzielczości — że po równi już teraz jesteśmy dla rządu, my jak i oni, indywidualni, i że to tylko takim łachudrom nie chciało się robić, tośmy założyli kołchoz, żeby od państwa ciągnąć... Podejdź do takiej... Ja powiem jedno — państwo musi uderzyć w stół, inaczej nic z tego nie wyniknie; będą tylko mówić, tak jak i teraz mówią: Zapiszę się, kiedy przyjdzie na to czas, ale teraz jeszcze sam się pomęczę...

Leszczyński kręci głową: „Rząd tego nie zrobi. Nie myśl o tym

Chlewmistrz Spółdzielni z Rudowa

nawet... Każdy musi sam ten pieprz rozgryźć. Czy myśmy się mało namęczyli? Czy komu lekko przyszło decydować...?"

Stary chlewmistrz jakby się ocknął, patrzy na Leszczyńskiego i raz po raz kiwa głową. „To jest robota nie na tydzień, ani na dwa. Uparcie trzeba..."

I po chwili przerwy kończy Leszczyński:—„No, a wreszcie nikt nam tej ziemi nie zabrał. Złączyliśmy się, bo nam tak składniej gospodarzyć i jakoś na swoje wychodzimy. Toć przecież już teraz widać, że piechty traktoru nie dogonisz..."

Witold Zalewski

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Notatnik walczącego pisarza

Tadeusz Borowski

Pisarzowi nie wolno marnotrawić ani jednego dnia, pisarz winien pracować stale i systematycznie, inaczej nie ma mowy o jego doskonaleniu się i rozwoju; jeśli odłoży pióro na dłużej, zajdzie ono rdzą, choćby nawet było ze złota; zaniedbywany warsztat nieuchronnie zarasta pleśnią i kurzem. Okres „ugorowania", czas przygotowawczej pracy nad nowym utworem nie musi być czasem milczenia, zasklepianie się w gatunkach uświęconych jak poezja, proza, czy dramat, to praktyka pięknoduchów. Jeśli twórca nie umie zareagowaś na jakieś bieżące wydarzenie artykułem, czy felietonem, świadczy to o jego oderwaniu się od rzeczywistości, o jego wewnętrznym ubóstwie...

Taki był pogląd Tadeusza Borowskiego na organizację pracy pisarskiej, wielokrotnie przez niego wypowiadany w gorących, gwałtownych nieraz dyskusjach, które prowadziliśmy czy to w Związku, czy w jego gościnnym, przyjaznym mieszkanku na Kaliskiej. Ten pogląd Tadeusza Borowskiego na „sprawy warsztatowe" był odbiciem jego całej postawy życiowej, odzwierciedleniem pięknej, głęboko ideowej postawy bojownika - komunisty. Mówiąc: pisarz, miał na myśli pisarza, walczącego o socjalizm. Mówiąc: artykuł, felieton, myślał o wszystkich kalibrach broni literackiej, którymi można i trzeba posłużyć się w tej walce.

Dwa tomy artykułów i felietonów Tadeusza Borowskiego, wydane przez MON, to owoc jednego zaledwie roku jego pracy pisarskiej, niezmordowanej, ofiarnej, a tak tragicznie przerwanej 3 lipca 1951 r. Dwa tomy publicystyki, których nie wolno spychać na margines twórczości pisarza, gdyż powstały one z głównego nurtu jego myśli i uczuć. Były więzień hitlerowskich obozów śmierci w Oświęcimiu, Dachau i Dautmergen, zabłysnął Borowski w literaturze polskiej cyklem opowiadań, wyrażających bunt przeciw faszyzmowi, piętnujących z niebywałą pasją samo zło, ale jeszcze nieświadomych korzeni tego zła. Gdy w strażnicach obozu w Dachau pojawili się zamiast esesmanów, Amerykanie w białych hełmach Military Police, Borowski zobaczył nowy faszyzm, faszyzm amerykański i zasygnalizował to nowe niebezpieczeństwo w świetnym, demaskującym zamorskich „wyzwolicieli" opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem". Później jeszcze raz przyjrzał się z bliska amerykańskiemu imperializmowi, w mieście, gdzie świat wolności i pokoju graniczy ze światem ucisku i zbrodni, w Berlinie. Pojechał do Berlina już jako świadomy bojownik, wrócił, jak wraca żołnierz z pierwszej linii, zahartowany i mężny. Jeździł potem po kraju z wieczorami autorskimi i odczytami, odwiedzał pegeery, zaglądał do szkół i letnich obozów studenckich, był wszędzie tam, gdzie wydarzyło się coś ważnego i z każdego takiego wypadu przywoził frapujące materiały, tuziny pomysłów, każda taka podróż była zalążkiem nowego utworu. Śledził pilnie życie międzynarodowe, czujny, zawsze gotów do akcji, pochłaniał setki książek i czasopism. Nie było równocześnie zjawiska kulturalnego, które uszłoby jego uwagi, nie było dyskusji, w której nie wziąłby udziału. Z toczącej się walki zrodziły się jego utwory publicystyczne, o doraźnym często znaczeniu, pisane na dzień bieżący, ale stanowiące zarazem zapowiedź dzieł, które planował, których zarysy roztaczał przed kolegami, ale których niestety nie zdążył napisać.

Gdy „małe kroniki" ukazywały się jako tygodniowy felieton w „Nowej Kulturze", słyszało się niekiedy głosy niezadowolenia, że kroniki są panopticum zbyt wielu najrozmaitszych spraw, bez wystarczającego pogłębienia i wyselekcjonowania. Przeglądając je ponownie, zgromadzone w zbiorku, utwierdzamy się w przekonaniu, że było to nieporozumienie, zasadnicze nieporozumienie co do sensu kroniki. Te „pół setki felietonów o sprawach pokoju, socjalizmu i kultury" — jak je określa przedmowa, skreślona jeszcze ręką autora — charakteryzuje niezwykła chłonność spraw i zdarzeń. Ale właśnie przy tym typie doraźnego cotygodniowego felietonu cenne jest niezwykle owe bogactwo aktualnych wydarzeń i spraw, które na gorąco, z dnia na dzień porządkuje i ustawia publicysta. To jest jak gdyby codzienna lekcja pojmowania i ustosunkowania się do problemów dnia dzisiejszego. Czemu zawdzięcza swą niezawodność i ostrość agitacyjna publicystyka Borowskiego? Gorąca aktualność żywość i wszechstronność, przy usilnej dążności do uszeregowania, wyjaśnienia i przeniknięcia gęstwy konkretnych faktów — to cechy poglądowego felietonu, tak świetnie realizowanego przez Borowskiego. Na wskroś osobisty ton jest — obok rzeczowej argumentacji — drugą przyczyną ich wielkiej agitacyjnej roli.

Od kampanii o pokój do spraw sceny amatorskiej, od spraw prowincji po wielkie zagadnienia polityki międzynarodowej — oto krąg tematyki małych kronik. Niemało w nich również spotkań, rozmów i dysput ze współczesnym człowiekiem. Małe kroniki jednego z niezwykłych lat naszej powojennej przemiany składają się na kronikę wielkich spraw, na żywy wizerunek ludzi teraźniejszości. Jak bardzo potrzebny jest masom czytelników naszej prasy ten mały format publicystyki poglądowej — felieton kronikarski — o tym świadczy oddźwięk, jaki miały kroniki Borowskiego. Otrzymywał więcej listów od czytelników niż cała reszta redakcji razem wzięta. Te kontakty Borowski, mądry agitator, wykorzystywał na codzień, w pracy, podtrzymywał i zacieśniał, i chlubił się nimi.

Publicystyka jest sztuką zwalczania wrogów, przekonywania chwiejnych, umacniania przekonanych. Jeśli szukać wspólnego mianownika dla braków i niedomagań naszej publicystyki, to jest nim — moim zdaniem — niewystarczająca, wątła argumentacja: przekonywanie pewnych; przekonanych nie trzeba już przekonywać, ale trzeba wzbogacać i umacniać ich przekonania. I nie wolno w okresie wielkiego społecznego przewrotu zapominać o chwiejnych, szukających. A o nich właśnie nasza publicystyka za mało pamięta, kiedy operuje szablonowymi i wytartymi ogólnikami, kiedy nie starcza jej pogłębienia ideowego.

W zbiorze siedmiu artykułów i reportaży „Na przedpolu" aż kłębi się od myśli, od faktów, które mają wymowę niezbitych argumentów: za pokojem, za frontem wszystkich uczciwych Polaków przy wykonywaniu Planu Sześcioletniego, za nową sztuką socjalistyczną. Sprawy wewnętrzne polskie zawsze tu — jak w dobrej publicystyce politycznej trzeba — rozpatruje na tle ogólnym, międzynarodowym. Szczególnie zajmuje pisarza problem nowych Niemiec — owego przedpola świata socjalistycznego, z którym wiąże się tyle najistotniejszych zagadnień polityki. Wszystkie te utwory publicystyczne są niezwykle dramatyczne, potrafi w nich pisarz wydobyć cały dramatyzm współczesnej walki. Niech za przykład metody publicystycznej Borowskiego posłuży świetny artykuł czy reportaż „Niezwykłe lato" — przekrój wydarzeń lata 1950 r.

W swych artykułach i reportażach Borowski na szalę argumentacji rzuca również całe swe osobiste doświadczenie. Najgoręcej brzmi ono w odezwie „Do młodych agitatorów pokoju", zamykającej książkę. We wstępie do tomu „Na przedpolu" pisał Tadeusz Borowski: „...Pożar Phenianu przyniósł nam dymy Oświęcimia. Ze zdjęć Seulu wołają do nas gruzy Warszawy. Któż, pamiętając grozę faszystowskiego najazdu, ośmieli się zaniedbać swój obowiązek. Ja także staram się go wypełnić".

Są pisarze, którzy zazdrośnie strzegą swych notatników, a sposrzeżenia swoje, myśli, rozważania oddają czytelnikowi dopiero w safianowej szacie, odziane w dostojny kształt powieści, czy poematu. Borowski był hojny, niczego nie ukrywał, a szpalty gazet go nie zrażały, mimo że był bibliofilem i lubił ładnie wydane książki. Spójrzmy na tę publicystykę, zebraną w dwu tomach, a zobaczymy, że jest to notatnik, właśnie notatnik pisarza. Stąd też ich forma.

Przecież felietony z „Nowej Kultury", składające się na „Małą kronikę wielkich spraw", poza tym, że są felietonami, mają niejako swój drugi kształt: każdy z nich to krótka nowelka, w których Borowski celował...

Albo tom „Na przedpolu", składający się z utworów, które trudno nazwać artykułami, bowiem każdy z nich jest równocześnie reportażem, a właściwie nie reportażem, tylko dużym opowiadaniem, kawałem świetnej prozy. Środki pisarskie zmieszały się tutaj, gdyż każda z tych rzeczy była dziełem p e ł n e g o warsztatu, dziełem c a ł e g o serca.

Cudowna żarliwość, młodzieńcza pasja, dojrzała ideowość, bogactwo problematyki i bogactwo przepięknej polszczyzny, wszystko to razem utrwali niechybnie te utwory w polskiej literaturze, jako świadectwo naszych walk i naszych zwycięstw.

Krzysztof Gruszczyński

Tadeusz Borowski — Mała kronika wielkich spraw, wyd. MON, 1951; str. 169, cena zł 6.60. (red. W. Woroszylski).

Tadeusz Borowski — Na przedpolu, wyd. MON, 1952; str. 105, cena zł 5,50 (red. W. Woroszylski).

JAN ŚPIEWAK

Zoil się nudzi

W ostatnim tj. 41 numerze „Życia Literackiego" ukazał się krótki felieton pt. „List Zoila" podpisany kryptonimem jabł. Felieton ten jest mieszaniną pyszałkowatości, i nieuzasadnionej megalomanii.

Po pierwsze: „jabł" przybiera pozę ponadczasową i traktując całą naszą poezję jako vanitas vanitatum, jak sam pisze, ze zniechęceniem zaczyna smagać biczem. Zniechęcony Dyzio kręci nosem na wszystko. Nic mu się nie podoba. Wszyscy pracują źle albo nieumiejętnie. A więc wydawnictwa, a zwłaszcza „Czytelnik", który z tak dużym nakładem dobrej woli podjął na szerszą skalę wydawanie tomów poetyckich. Nie podoba się Dyziowi praca redaktorów literackich w wydawnictwach, jak to się mówi „w ogóle". Nikt z nich nic nie rozumie. Nie potrafią oni odróżnić poezji od poprawności. Oryginalności od stylizacji. Nie posiadają ani smaku, ani wiedzy. „jabł" tupie przy tym zniecierpliwioną nóżką i dalej pieje dyszkancikiem udając, że krzyczy basem: „Gorzej jest natomiast, kiedy książki pisarzy najzupełniej poprawnych zaczynają się pojawiać gromadkami. Bo to może świadczyć już o zaniku kryteriów wydawniczych". Oczywiście ustawiając się w stratosferze ponadczasowej tzw. Zoil nie chce rozumieć trudności, na jakie natrafia współczesny poeta. „jabł" na zjawiska literackie patrzy z pozycji dość wątpliwych, które pozwalają mu rąbać wszystko na oślep, byle rąbać. Że jest to pozycja bardzo niebezpieczna świadczy chociażby poprzednik „jabła" na łamach „Życia Literackiego", skądinąd bardzo utalentowany, Ludwik Flaszen, którego walka ze schematyzmem prowadzona również fałszywie. doprowadziła do bardzo niebezpiecznych uogólnień i błędnych sformułowań. Z rąbania na oślep wyziera zwykła niechęć przed jasnością ideologicznych sformułowań.

Po drugie: jako tako szanujący się krytyk nie powinien wyrywać cytatów z kontekstu wiersza. Tego rodzaju „rodzynkarstwo" jest metodą nieuczciwą. Zoila trzeba łapać za rękę. Wykrzywianie i fałszowanie tekstu nie przysparza krytykowi, nawet początkującemu, zaszczytu.

Po trzecie: nikt nigdy nie upoważniał tzw. krytyka do mądrzenia się i traktowania pracy literackiej z góry. Właściwie co upoważnia jakiegoś „jabł" do nonszalancji? Zresztą czas już skończyć z nieodpowiedzialnym tonem „zjeżdżania za wszelką cenę", który przebija się w artykułach również innych tego rodzaju krytyków. Trzeba wyjaśniać (jeśli się potrafi) pisarzom ich niedociągnięcia, po to, żeby im dopomóc w trudnej i odpowiedzialnej pracy twórczej. Tylko nihilistyczna krytyka niszczy, pisarzy, zniechęca ich do dalszej pracy. Na tę, jakże fałszywą i szkodliwą metodę zwracano uwagę już kilkakrotnie. I w tym wypadku zwracam uwagę raz jeszcze.

Po czwarte: pozytywnych wartości w twórczości danego pisarza bynajmniej nie powinno się zbywać machnięciem ręki jak to czyni „jabł". Wyciąganie i wyolbrzymianie tylko i wyłącznie negatywów (zresztą spreparowanych) świadczy o błędnej i fałszywej pozycji ideologicznej tzw. krytyka.

„Jabł" jak gdyby od niechcenia rozprawia się z książkami utalentowanych poetów: Wandy Karczewskiej i Edwarda Fiszera mieszając te książki, jak to się mówi, z błotem. „Jabł" nie widzi i nie chce widzieć rozwoju tych poetów, ich ewolucji ideowo-artystycznej. Nie widzi i nie chce widzieć zmiany tematyki w ich twórczości. Nie widzi i nie chce świadomie rozumieć trudności na jakie natrafiają w swojej pracy. Nie chcąc zrozumieć przyczyn ich potknięć wykrzywia twarz: „Doprawdy zmęczenie ogarnia"... „Owe schematyzmy, deklaratywności, płytkie optymizmy. Owe narowy i banalności, owe mechanicznie stosowane odżywki(?) po których jak za naciśnięciem guzika wyskakują gotowe strofki. „Jako przykład fałszywej deklaratywności „jabł" cytuje fragment wiersza Karczewskiej:

„Jeden sztandar płomieniem dwa ludy ogarnął.
Nie ma chłodu pośród nas, są braterstwa dzieje
Jeszcze tylko granice,
lecz i one padną,
kiedy ludzkość do ojczyzn
bez granic dojrzeje".

Piękny fragment wiersza Karczewskiej nie powinien być zaatakowany, chyba że „jabł" nie zgadza się z nim ideologicznie.

Nadmierna pewność siebie doprowadza „jabła" do tego rodzaju „kwiatków": „Trzech młodych krakowskich krytyków podejmuje się — jak słyszałem — przygotować taki tomik poetycki w ciągu trzech tygodni. Niestety, nie mogą znaleźć wydawcy". Megalomania doprowadzona do szczytu. „jabł" przy końcu swego felietoniku oskarża również krytykę: „Czy nie jest tu winna krytyka — strachliwa i niepewna swych sądów? „Obrzucanie poetów błotem i insynuacjami bynajmniej nie świadczy o odwadze, lecz o chorobliwych nastrojach w kołach niektórych „krakowskich krytyków".

Przy okazji chciałbym przypomnieć artykuł Jana Błońskiego zamieszczony w „Nowej Kulturze". Biblioteka Szpilek czytelnikom dla przyjemności, satyrykom dla nauki, krytykom dla namysłu wydana. „Oto kilka głębszych myśli.

Błoński zastanawia się czy w ogóle warto wydawać klasyków literatury i pisze: „Czy warto wydawać klasyków literatury, znakomitych, sławnych i znanych pisarzy w tego rodzaju serii? Bezwzględnie tak. Choćby dlatego, że to ich niesłychanie „odświeża, odmładza niejako". Doprawdy genialne spostrzeżenie! Ale równie błyskotliwe, głębokie i naukowe zdefiniowanie twórczości Henryka Heinego i jego roli wychowawczej dla współczesnych poetów. „Heine jest mistrzem trudnym, najtrudniejszym: uczy równowagi. Jest najbardziej opanowanym z kpiarzy. Bo zawsze czuje wymogi muzy, wymogi poezji, która żąda panowania nad sobą, bez którego muzyka zmienia się w kakofonię". Konia z rzędem kto to zrozumie!!! Albo inne rewelacyjne spostrzeżenie: „I jeszcze jedno w czym nasi satyrycy niezbyt celują: dobre czytanie gazet. „A więc poprzez czytanie piszmy satyry. A może braki, słabości naszej satyry polegają na czym innym? Na wtórności. Na niezaradności artystycznej. Na oderwaniu się od życia. Na nieumiejętności patrzenia, obserwacji.

Artykuł Błońskiego roi się od tego rodzaju aforyzmów. Nie świadczą one o poprawności myślenia krytyka ani o jego twórczej odwadze. Wprost przeciwnie artykuł ten jest przykładem pośpiesznie sformułowanych określeń i przedwczesnych uogólnień. W tym wypadku warto przytoczyć zakończenie felietonu „jabł". „Krytycy, odrobinę wstydu! Zadusimy się w tej atmosferze! Apeluję o odrobinę odwagi! Krytykujcie odważnie autorów i redaktorów! Powietrza! Powietrza!".

Jak widać z tego wszystkiego, jabł-ko nie daleko pada od Jana Błońskiego.

Jan Śpiewak

WYDAWNICTWA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
WROCŁAW, PLAC SOLNY 11
EKSPOZYTURA: KRAKÓW, RYNEK KLEPARSKI 4

Nowości wydawnicze

STUDIA HISTORYCZNO-LITERACKIE:

Krzysztof Dunin-Wąsowicz: Czasopiśmiennictwo ludowe w Galicji. Str. 292 + 3 nlb. 26,—

Henryk Markiewicz: O marksistowskiej teorii literatury. Szkice. Str. VI + 126 4,10

BIBLIOTEKA NARODOWA:

Seria I

Jan Pasek: Pamiętniki. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył prof. Władysław Czapliński. Wydanie trzecie.. Str. LX + 572 + 2 nlb. 25,—

Średniowieczna poezja polska świecka. Opracował **Stefan Vrtel-Wierczyński.** Wydanie trzecie, rozszerzone i zmienione. Str. LXXIV + + 1 nlb. + 111 + 1 nlb. 8,40

Seria II

Bożena Niemcowa: Wybór obrazków i opowiadań. Przełożył i opracował dr Józef Magnuszewski. Str. XXXVI + 205 + 3 nlb. 10,65

HISTORIA (ŹRÓDŁA):

Galicja w dobie autonomicznej (1850—1914). Wybór źródeł w opracowaniu Stefana Kieniewicza. Str. LIII + 1 nlb. + 317 + 1 nlb. 31,70

Próby reform włościańskich w Polsce XVIII wieku. Wybór źródeł. Opracował Stefan Inglot. Str. LXIII + 340 + 2 nlb. 32,50

Sprawy Mazur i Warmii w korespondencji Wojciecha Kętrzyńskiego. Opracował Władysław Chojnacki. Str. XXX + 346 z 7 ilustr. 42,—

HISTORIA SZTUKI:

Warszawskie wystawy sztuk pięknych w latach 1819—1845. Opracował Stefan Kozakiewicz. Str. XXXVI + 420 z 6 ilustr. + LXII reprodukcji poza tekstem 40,—

NASZA BIBLIOTEKA:

Adam Mickiewicz: Sonety krymskie. Opracował Roman Taborski. Str. 52 z 1 ilustr. 1,20

Iwan S. Turgeniew: Burmistrz. W przekładzie Alberta Komorowskiego. Opracował Jan Trzynadlowski. Str. 45 + 3 nlb. z 2 ilustr. 1,50

Książki

„Siedem gawęd"

Edmund Jan Osmańczyk — Siedem gawęd. PIW, 1952, str. 108 + 6 ulb; cena 5 zł.

Pod takim tytułem ogłosił J. E. Osmańczyk małą książeczkę, przeznaczoną na Zlot Młodych Przodowników Budowniczych Polski Ludowej. Książeczka jest bardzo interesująca, napisana z wielką pomysłowością i stanowi jedną z lepszych pozycji w polskim piśmiennictwie publicystycznym obecnego okresu. Gdy — na ogół biorąc — brak nam dziś żywej, śmiałej zarówno w treści jak i w formie, pięknym językiem pisanej publicystyki, co Osmańczyk sam konstatował swego czasu na łamach „Nowej Kultury", warto poświęcić nieco uwagi jego nowej książce, gdyż praca ta odbiega od złych szablonów dziennikarskich, zaciekawia, przekonywa, a nawet wzrusza. W ten sposób Osmańczyk dowiódł, że dobra publicystyka wymaga bogatego warsztatu literackiego i że zalicza się do sztuk pięknych.

Jakaż jest treść „Siedmiu gawęd"? Bardzo rozległa. Na pozór Osmańczyk krąży wokół jednego tematu: Mickiewicza. Opowiada „żywot Adama Mickiewicza w narodzie polskim w latach 1855 — 1955". Pozwala mu to jednak poruszyć szereg ważnych zagadnień politycznych, unaocznić pewne istotne cechy przemian społecznych dokonanych w Polsce. Niema schematycznej frazeologii, niczego, co trąci „wstępniakiem", nie ma zbytecznego teoretyzowania, autor po prostu gawędzi, wspomina swoje przeżycia z dzieciństwa, z podróży, z lektury...

„Gawęda — pisze Osmańczyk w krótkim wstępie do książki — zapomniany już dzisiaj rodzaj literacki, jest najswobodniejszą opowieścią osnutą wokół jakiejś postaci czy zdarzenia. Gawęda pozwala łączyć wspomnienia z dniem dzisiejszym, wybiegać myślą w przyszłość, znów wracać do minionego, potrącać o wiele najróżnorodniejszych spraw, a wszystko to wiążąc nicią własnych przeżyć.

Przykład zastosowania tej metody pisarskiej pokazał autor w „Siedmiu gawędach", gdzie czytamy m. in „o scyzoryku i procy, o bardzo włochatym poecie,... o patriotycznym wisiorku,... o wybuchu pierwszej wojny światowej,... o odświętnych chmurach patosu,... o zaleszczyckich panach,... o faszystach z Chicago i nylonach produkowanych przez koncern zbrojeniowy rodziny Dupont,... o Zlocie Młodych Przodowników" i t. d.

Wszystkie te luźne wspominki, gadki i rozważania polityczne podporządkował Osmańczyk pewnej generalnej myśli przewodniej, która dowodzi, że „cokolwiek czynimy w zgodzie z duchem socjalistycznej epoki, zgodne jest z najpiękniejszymi tradycjami naszego narodu, zgodne jest z najszlachetniejszymi myślami geniuszów naszego narodu".

Rzecz ciekawa, że Osmańczyk szeroko posługuje się w swej książeczce kompilacją — powiedziałbym — czymś w rodzaju montażu. Przytacza fragmenty utworów nie swoich, streszcza lub cytuje nie tylko Mickiewicza, lecz sięga po krytyki Boy'a Żeleńskiego, artykuły Brezy i Czeszki, zagraniczną prasę, wiersze Antoniego Słonimskiego, najróżniejsze odezwy i druki. Jednolity charakter gawędy pozostaje jednak do końca niczym nie zamącony, użyte cytaty są zręcznie wtopione w całość książki i nie sprawiają wrażenia ciał obcych.

Jedno zastrzeżenie: czy chwilami autor nie zapomina, że pracę swą adresuje do najszerszych mas młodzieży? Odnosiłem przy lekturze wrażenie, że niekiedy Osmańczyk daje się ponieść nazbyt już poważnym aspiracjom literackim i wypowiada się w sposób za trudny dla młodzieży. W sumie jednak książka jest raczej przystępna i to stanowi jej zaletę. Takie zresztą było chyba założenie autorskie.

Jacek Bocheński

Oczami szalejącego reportera

Egon Erwin Kisch: Raj amerykański. Posłowie **Stanisława Brodzkiego.** Wyd. M. O. N. Warszawa, 1952. Tytuł oryginału „Paradies Amerika". Tłumaczyły z niemieckiego **M. Wolczacka i J. Marecka.** Okładkę projektował Ryszard Sidorowski. Str. 284. Cena 8 zł 35 gr.

Egon Erwin Kisch: Wylądowałem w Australii. Posłowie **Stanisława Brodzkiego.** Wyd. M.O.N., Warszawa. 1952. Tytuł oryginału „Landung in Australien". Tłumaczyła z niemieckiego **Zofia Petersowa.** Okładkę projektował Ryszard Sidorowski. Str. Cena 12 zł 50 gr.

„Tylko otwartymi oczami można ujrzeć właściwe proporcje i toczącej się w świecie walki o pokój, i ludzkie prawo do szczęścia. o to nam musi przede wszystkim chodzić: żeby zawsze mieć odważnie, czujnie i mądrze otwarte oczy" — pisał niedawno Jerzy Andrzejewski. Takie właśnie „odważnie, czujnie i mądrze otwarte oczy" miał „szalejący reporter" Egon Erwin Kisch. Dlatego omawiane tutaj reportaże, choć napisane przed blisko ćwierćwieczem, zachowały wartość nie tylko dokumentu, zachowały całą swoją aktualność. Demaskując imperialistów — mobilizują do „walki o pokój i ludzkie prawo do szczęścia".

Toteż Kisch w krajach kapitalistycznych nie należał do mile widzianych gości. Konsulaty Stanów Zjednoczonych odmówiły mu wręcz wydania wizy wjazdowej. Bo niedość, że paszport jego był „napiętnowany" wizą radziecką, ale na domiar wszystkiego Kisch odważył się publicznie oświadczyć „iż na Sacco i Vanzettim dokonano barbarzyńskiego mordu". Nie darmo jednak był „szalejącym reporterem". Pojechał do USA nielegalnie i do dawnych przestępstw dorzucił nowe — ukazał w swoich felietonach prawdziwe oblicze **Raju amerykańskiego.** Zapewne w porównaniu ze współczesną nam rzeczywistością Stanów Zjednoczonych może się on wydawać jeszcze mimo wszystko względnym rajem. Bo też był to dopiero rok 1928. Nieludzkie, barbarzyńskie cechy „kultury atlantyckiej" nie występowały wówczas w tak skrajnie brutalnej formie, jak dzisiaj, a powojenna „prosperity" maskowała narastające sprzeczności. Kisch jednak był zbyt uczciwym obserwatorem, dobrze widział, co się za ową rzekomą „prosperity" kryje i nie dał się omanić pozorami bogactwa. Dostrzegł od razu „przemysłową armię rezerwową bezrobotnych i poszukujących pracy", dostrzegł „targ niewolników" — wyzyskiwanych w najbezwzględniejszy sposób robotników portowych, pracowników krawieckich, statystów filmowych. Poza „eleganckimi" ulicami zobaczył ohydne dzielnice wielkomiejskiej nędzy i odrażające przytułki. „Kto zwiedza misję na Mott Street — nawet jeśli widział budzącą dreszcz zgrozy Whitechapel — wyleczy się radykalnie z podziwu dla kraju Jankesów i amerykańskich cudów gospodarczych". W szkicach swych odmalował Kisch rozkład burżuazji amerykańskiej i upadek kultury pod wszechwładnym panowaniem dolara, który jest jedynym probierzem wartości człowieka, systematycznie ogłupianego przez reklamę, prasę i hollywoodzkie kicze. Kisch nie potrafił co prawda przeprowadzić marksistowskiej analizy amerykańskiego imperializmu i dlatego za ową „prosperity", o której trąbił na cały świat świeżo obrany prezydent Hoover, nie dostrzegł zbliżającego się krachu, a malując nędzę mas ludowych nie pokazał walki klasy robotniczej z kapitalizmem. Jak słusznie jednak pisze w posłowiu Stanisław Brodzki, Kischowi „można wybaczyć wiele rzeczy opuszczonych wobec tego wszystkiego, co pokazał".

Marksistowską analizę kapitalizmu oraz obraz walki klasy robotniczej — czego brak odczuwamy w **Raju amerykańskim** — dał Kisch w sześć lat później w szkicach **Wylądowałem w Australii.** W ciągu tych sześciu lat zaostrzyły się wskutek kryzysu konflikty między klasą robotniczą a coraz bardziej faszyzującą się burżuazją. W Niemczech do władzy doszedł Hitler i Kisch musiał emigrować do Czechosłowacji. Związany silnie z ruchem pokojowym, wyjeżdża w 1934 roku do Australii, już nie jako „szalejący reporter", lecz jako delegat Światowego Komitetu Antywojennego i Antyfaszystowskiego. Kisch — obrońca pokoju był dla australijskiej burżuazji o wiele groźniejszym wrogiem, niż sześć lat temu. Kisch — dziennikarz dla burżuazji USA. Nie pozwolono mu więc lądować. Kisch demaskuje australijską burżuazję, która — jak każda zresztą burżuazja — dla obrony swojego stanu posiadania zdolna jest do największej podłości, odsłania jej brudne machinacje, pokazuje, jak w strachu przed własną klasą robotniczą zdradza kraj, jak działa na szkodę interesów narodowych. O ile bez znaczenia dla charakteru burżuazji australijskiej jest to, iż w znacznej mierze wywodzi się z zesłanych do Australii zbrodniarzy, o tyle na ruchu socjalistycznym — jak to wykazał Lenin — bardzo silnie zaważył wpływ robotników zrazu zsyłanych do Australii przymusowo, potem dobrowolnie imigrujących. „Porzucili oni Anglię w takiej epoce, kiedy panowała tam niepodzielnie liberalna polityka robotnicza, kiedy robotnicy angielscy w swej masie byli **liberałami**". (Lenin). Te liberalne tradycje bardzo silnie się zakorzeniły i w tym tkwi źródło wszystkich słabych stron australijskiego ruchu robotniczego. Po tej linii idzie analiza Kischa, a choć tylko ostatni szkic zatytułował „Ilustracje do cytaty Lenina" — tytuł ten można by nadać całej książce. Kisch nie ogranicza się tylko do australijskiej współczesności, lecz sięga do historii i ukazuje rozwój kapitalizmu w Australii, pokazuje narastające konflikty, pokazuje dzieje walki australijskiej klasy robotniczej. Zwracając uwagę na jej słabość, piętnując zdrajców z Labour Party, którzy wysługują się burżuazji, dostrzega jednak rozdźwięk między oportunistyczną górą partyjną, a coraz bardziej rewolucjonizującymi się masami. Kisch jest po stronie tych ostatnich i z nimi wiąże swoje nadzieje. Wierzy w ostateczne zwycięstwo klasy robotniczej, wierzy, że potrafi się ona pozbyć fałszywych pasterzy, obalić ustrój burżuazyjny i wyzwolić Australię. Tym właśnie akcentem optymizmu różnią się te szkice od poprzednich — z Raju amerykańskiego.

Autor wydanej w 1923 roku antologii „Klasyczne dziennikarstwo" dzięki swoim ciekawym, różnorodnym, bogatym w problematykę i zawsze odkrywczym reportażom sam stał się jednym z najwybitniejszych klasyków dziennikarstwa.

W obu omówionych tomach materiał podany przez Kischa został usystematyzowany, uzupełniony i zaktualizowany w posłowiach Stanisława Brodzkiego. Dzięki temu każdy z tomów jest zarazem małą podręczną monografią.

Adam Kotula

KORESPON

O BEZKARTKOWYCH WYDAWNICTWACH

W języku dziennikarskim pojawił się przykry wyraz „brakoróbstwo", który nie ma nic wspólnego z Naruszewiczem. Zapewne „Słownik współczesnego języka polskiego" poda niezadługo smutną historię tego wynalazku.

Towarzystwo Naukowe Warszawskie wydało właśnie podobiznę cennego zabytku w. XV „Rozmyślanie przemyskie". Wydawnictwo ukazało się drukiem pod pieczołowitą redakcją Stefana Vrtela - Wierczyńskiego, nakładem wielkich kosztów, na pięknym papierze. Taka oprawa należała się niewątpliwie dziełu, które w sposób bardzo znamienny ukazuje zjawisko laicyzacji kultury średniowiecznej. Toteż członkowie Towarzystwa, nie tylko nieliczni u nas mediewiści literaccy, przyjęli wspaniały dar z wdzięcznością. Egzemplarz wydawnictwa, który otrzymałem, był zdefektowany: brakowało mu dwu arkuszy druku. „Brakoróbstwo"!

Towarzystwo Naukowe Warszawskie, gdy zgłosiłem się z reklamacją, wymieniło mi natychmiast ten zdefektowany egzemplarz. „Incydent został zlikwidowany". Ale gdybyście wieźli takie „Rozmyślanie przemyskie" z Wrocławia do Warszawy! Księga zajmuje pół walizy. Zaręczam, że sprawa miała swoją wagę.

Jakoś w tym samym czasie kupiłem książeczkę Ireny Krzywickiej „Żywot uczonego. O Ludwiku Krzywickim", wydaną przez PIW W egzemplarzu kupionym brak arkusza 4. który zawiera strony 49—64. Stwierdziłem to oczywiście dopiero w domu, rozcinając książkę. Któż będzie czytał książkę podobnie niekompletną?

Wyjeżdżając na wakacje kupiłem nową powieść Heleny Boguszewskiej „Czarna kura" (Książka i Wiedza). Egzemplarz — jak to stwierdziłem dopiero w górach kłodzkich — jest dość dziwnie skonstruowany: brakuje w nim arkusza 6, ma zaś dwukrotnie wklejony arkusz 5. Brak w nim zatem stron 81—96, strony zaś 64—80 można przeczytać dwa razy.

Wiem, że próbowano na podstawie wskazówek tekstu rekonstrukcji „Konfederatów barskich" Mickiewicza i „Złotej czaszki" Słowackiego. Ale była to praca łatwiejsza. Przeczytałem „Czarną kurę" — i nie wiem ciągle, co zawierały strony 87—96. Po prostu „brakoróstwo"!

Mogę się tylko domyślić, co stało się z brakującym arkuszem 6: wklejono go oczywiście do innego egzemplarza książki! Tę prostą hipotezę potwierdza w pełni „Historia Polski" Gryzeldy Missalowej i Janiny Schoenbrenner (PZWS 1951), której egzemplarz mam w ręku: arkusz 18 książki, zawierający strony 273—288, jest tu wklejony dwukrotnie, z oczywistym uszczerbkiem dla całości nakładu. „Brakoróbstwo"!

Jeszcze niedawno znajdowaliśmy w książkach karteczki ulotne, które wskazywały numer kontrolerki, przeprowadzającej rewizję egzemplarza. K. I. Gałczyński napisał nawet strzelisty wiersz do „Kontrolerki nr 9" Książki i Wiedzy:

I tu kwestia powstaje następująca:
Czy kontrolerka włosy ma barwy słońca,
Czy księżyca? a może w kolczykach jej
do twarzy?

Zwyczaj owych kartek wyszedł już z użycia, był zapewne niepraktyczny. Kontrolerka nr 9 wycięła niechybnie wiersz Gałczyńskiego, odszedłszy do innej roboty.

Tadeusz Mikulski

Czytelnicy dyskutują

O CHULIGAŃSTWIE

Dyskusja o chuligaństwie zapełniająca jeszcze pół roku temu szpalty wszystkich dzienników i pism periodycznych — rozlazła się, straciła na ostrości, przycichła. Niestety — chuligani nie przycichli. Ostrzygli włosy, włożyli mniej barwne skarpetki i wymyślili nowy rodzaj awantury: zaczepiają w tramwaju spokojnych ludzi rzucając się na nich z okrzykiem — „bić chuligana!"

Mimo że gazety milkną, mimo że organizacje młodzieżowe zaczynają wyłączać z porządku zebrań punkt: chuligaństwo, t. zw. opinia społeczna nie przestaje zajmować się tą sprawą. Za dowód może posłużyć fakt, iż po opublikowaniu przez „Nową Kulturę" w początkach bm. dwóch artykułów dyskusyjnych stawiających zagadnienie chuligaństwa na płaszczyźnie walki ideologicznej i doszukujących się przyczyn dotychczas dość słabych wyników walki z chuligaństwem w odizolowaniu tych środowisk społecznych, które służą za biologiczną pożywkę" bakteriom chuligaństwa od nowego, kształtującego się społeczeństwa socjalistycznego — otrzymaliśmy szereg listów od czytelników, listów ciekawych, zawierających nowe elementy, spostrzeżenia i wnioski. Z listów tych wybraliśmy pięć, najbardziej charakterystycznych, reprezentujących pięć różnych środowisk społecznych (jeden list pochodzi od robotnika, drugi od chłopa, trzeci od urzędnika, czwarty od dziennikarza, piąty od nauczyciela.).

W artykule Zabłockiej - Skupieńskiej zarysowana była sylwetka młodego ślusarza Kazika I. Kazika praca nie obchodziła wiele. W administracji fabryki uważany był za „typowego chuligana", książek — poza „kowbojskimi" — nie czytał.

„Należałoby sprawdzić, co dzieje się u Kazika I. w domu. Może matka, gdy Kazik miał 12 lat, wyrzucała go z domu do pracy, może i teraz, gdy ma lat 15-cie i pracuje, ma takie warunki domowe, że nie może w domu przebywać. Może żyje pod presją środowiska chłopaków gromadzących się bezczynnie na rogu ulicy. Należałoby wiele rzeczy sprawdzić. Zakład powinien to zrobić, a nie czekać aż Kazik za 6 miesięcy skończy lata i będzie można zapakować go do więzienia" — *pisze Leon Zarzycki brygadzista jednej z łódzkich fabryk. A oto spostrzeżenia z terenu jego fabryki:*

— „Złapali od was z magazynu na kradzieży — mówi do mnie kierownik — trzy młodociane dziewczyny.

— Coście z nimi zrobili?

— Dwie oddaliśmy do milicji, trzecią, najmłodszą (ma dopiero piętnaście lat, jest sierotą i ma dwoje młodszego rodzeństwa na utrzymaniu) postanowiliśmy zatrzymać na wabika, będzie z innymi jakby nic dalej wynosiła towar, tyle, że z naszą wiedzą.

Czy ta dziwna pedagogika w stosunku do dzieci nie napawa was wstrętem?

— To nie moja sprawa.

— To nie tłumaczy was. Jeśli dalej będziecie stosować takie metody, przedstawię tę sprawę radzie Zakładowej albo Podstawowej Organizacji Patryjnej — mówię — nie można od razu stosować kar administracyjnych, a tym bardziej stosować takich metod, które pachną złodziejską szkołą. Wam, kierowniku — mówię — wydaje się, że główną sprawą jest utrzymać młodzież w ryzach, aby była wylękniona. Wam chodzi żeby młodzież zapomniała języka w gębie, tak jak to było przed dwudziestu laty. Ja te czasy pamiętam. Wychowanie w warunkach kapitalizmu opierało się na bojaźni przed chlebodawcą — panem życia. Do młodzieży dzisiejszej w warunkach demokracji ludowej nie pasują stare metody wychowawcze. Moja żona gdy miała lat 18-cie długo stała przy zepsutej maszynie nim poszła powiadomić majstra, długo myślała w jakiej to formie wypowiedzieć, bo często zdarzało się, że forma nie była taka jaką sobie życzył majster, a wtedy krótko oświadczał: — Zbyt często psujesz maszyny i nie możesz dalej pracować! Efekt był taki, że twarz bladła, lubił to majster, przyglądał się jakich kolorów nabiera twarz i wreszcie uspokajał: Dobrze już, dobrze —przyjdę tam za chwilę. A robotnica błogosławiła naturę, że obdarzyła człowieka tak jaskrawo rzucającymi się w oczy odznakami strachu. Dziś niestety zdarzają się jeszcze ludzie, co lubią te stare „metody" straszenia".

Najpierw dyskutować, wychowywać, tłumaczyć — potem dopiero stosować kary administracyjne — taki jest ostateczny wniosek naszego czytelnika.

„Moim zdaniem — *pisze Stanisław Kowol ze wsi Jeżów koło Jędrzejowa* — jedną z zasadniczych przyczyn chuligaństwa jest „dwulicowość" pewnej części starej inteligencji, pośrednich i bezpośrednich wychowawców młodzieży. Tacy są inni w czasie pracy, lekcji, a inni kiedy wychodzą na ulicę, wracają do domu. Są nauczyciele i wychowawcy, którzy patrzą przez palce na chuligańskie wybryki swoich uczniów. A przecież nie tylko w czasie zajęć ale zawsze trzeba być z młodzieżą. Młodzież musi poznać i polubić swoich opiekunów i w szkole i poza szkołą".

Na co jeszcze poza oportunizmem pewnej części inteligencji w stosunku do przejawów chuligaństwa zwracają uwagę korespondencje omawiane przez nas? Alojzy Sroga, dziennikarz z Lublina mówi o tym, że chuligaństwo rodzi nie tylko życie wielkomiejskie, że w środowiskach małomiasteczkowych chuligaństwo pleni się jeszcze bardziej i co gorsza — na chuligaństwo to nie mające znaków rozpoznawczych w postaci krótkich spodni, szerokiego kapelusza i ciężkich zamszaków — nie zwraca się uwagi.

„Kiedy przyjechałem do Szczebrzeszyna, w pierwszych dniach pobytu w nim ostrzegano mnie dobrotliwie:

— Nie chodźcie późnym wieczorem sami.

— ?

— A, tacy różni się kręcą. Mogą krzywdę zrobić. Chuligani.

Tego dnia gdy wracaliśmy z „Wielkiego obywatela" (jaka szkoda, że nie zobaczyli go młodzi ze Szczebrzeszyna — sala świeciła bowiem pustkami) postanowiliśmy coś zjeść. Był ze mną przedstawiciel Gminnej Rady Narodowej. Jako że to bywalec zaprowadził do jakiegoś „lokalu" od tyłu. Jak się okazało, była to jedna z nielicznych, ocalałych tego rodzaju prywatnych knajpek.

Było po dopuszczalnej godzinie otwarcia. Kilka osób jadło. Większość piła. Piła, wymyślała, rozpoczynała burdy. Radość była ogólna. Obecni milicjanci (!) uśmiechali się pobłażliwie.

— Ot, młodzi. Muszą się wyszumieć...

Jakoż i szumieli. Nawet i wtedy gdy cały Szczebrzeszyn już spał a oni radośnie walili pięściami w szyby, okiennice.

Po kilku dniach pobytu w Szczebrzeszynie zapytałem, w czasie oczekiwania na jakąś konferencję, sekretarza KG PZPR i komendanta MO: — Dlaczego nie walczycie z chuligaństwem?

Postawili na mnie zdumione oczy.

— U nas chuligaństwo? Ależ, towarzyszu, tu nie Warszawa."

Ale nawet do zaśniedziałych dziur prowincjonalnych zaczynają docierać wielkie budowle socjalizmu. Zaczynają zaśniedziałe życie przekształcać. I w tym właśnie widzi autor omawianej przez nas korespondencji najskuteczniejsze lekarstwo przeciw chuligaństwu:

„Szczebrzeszyn jest podobny, i to bardzo, do Ząbków opisanych w „Nowej Kulturze" przez Stefana Kozickiego. Podobny, choć nie identycznie. Ząbki mają Warszawę. Szczebrzeszyny, Parczewy, Ostrowy, Tyszowce „swojej" Warszawy nie mają.

Mają jednak coś innego. Obok tych wielu zatęchłych miasteczek, wylęgarni najbardziej bzdurnych i reakcyjnych plotek, rosną wielkie budowle socjalizmu. Obok Szczebrzeszyna powstaje kombinat tłuszczowy w Bodaczowie.

Dawni fornale hrabiego Zamoyskiego i mieszkańcy małego miasteczka wyrosłego w cieniu, jednego z największych potentatów ziemskich w Polsce — stają się dziś murarzami, dawni sezonowi robotnicy rolni — pomocnikami murarskimi, a wkrótce być może będą preserami, ślusarzami, a może i brygadierami w rosnącym kombinacie."

Książką, dobrą książką, taką która potrafi pokazać perspektywy nowego życia, która daje czytelnikowi możność przeżywać wielkie sprawy, dać wzór bohaterstwa pracy, zajmują się — podobnie jak oportunizmem części inteligencji — bez wyjątków wszystkie listy.

„Chcę zwrócić uwagę na Poemat Pedagogiczny Makarenki — tego wielkiego znawcy dusz i charakterów młodzieży. Lektura Poematu Pedagogicznego powinna być dla wszystkich wychowawców rzeczą obowiązkową".

(z listu Stanisława Kowola).

„Czytałaś koleżanko „Daleko od Moskwy"?

— Tak.

— To powinnaś wiedzieć, jak wspaniale pracuje młodzież radziecka.

— Zgadzam się z tobą. „Daleko od Moskwy" bardzo mi się podobało. Ale u nas nie zawsze jest tak jak w książkach radzieckich. Pamiętasz kolego w ubiegłym tygodniu, przy kluskach, w przerwie obiadowej postawiono sprawę pracy w godzinach nadliczbowych. Pamiętasz jak zrobiono listę tych, którzy nie zgodzili się na to, a na zapytanie po co, odpowiedziano, że do dyscyplinarki. W „Daleko od Moskwy" inaczej agitowano do pracy..." (z listu *Leona Zarzyckiego*).

„Jakże pragnąłbym — *pisze w swoim liście Stanisław Kowol* — aby nasza walka z chuligaństwem nie wyglądała tak, jak wygląda wszelkie załatwianie konfliktów i wyjaśnianie prawd ideologicznych *za pośrednictwem zebrań* jak to jest np. w powieści Niziurskiego „Gorące dni".

1) Oportunizm części inteligencji 2) Zastosowanie wychowawczych metod radzieckich 3) Wpływ lektury dobrych książek — te trzy zasadnicze elementy wszystkich otrzymanych przez nas korespondencji, uzupełnia jeszcze czwarty: wielka rola szkoły.

„Uważam, że szkoła nowoczesna winna mieć w tej sprawie głos decydujący, gdyż tylko ona może odpowiednio i systematycznie wpajać młodemu pokoleniu zasady należytego stosunku człowieka do człowieka — *pisze Henryk Kulesza z Krakowa.* Już od nowego roku szkolnego w programach nauczania winien znaleźć się nowy przedmiot pt. „Kultura Dnia Codziennego". poświęcając na ten cel przynajmniej dwie godziny tygodniowo".

A nauczyciele? Czy zdają sobie sprawę z olbrzymiej roli, jaką mogą spełnić jeśli chodzi o walkę z chuligaństwem?

Z pewnością tak. Z pewnością większość nauczycieli rozumie sprawę właściwie. Ale otrzymaliśmy tylko jeden list od nauczyciela. Maria Jańczuk nauczycielka Liceum Technicznego w Bydgoszczy pisze:

„Pewnego rodzaju sprawdzianem słabych wyników dotychczasowej walki z chuligaństwem może być zachowanie się uczennic z grudziądzkich szkół średnich na obozie w Michalinie, gdzie byłam wychowawczynią jednej z grup. Od początku zaobserwowałam u dziewcząt dążenie do nawiązania kontaktu z chłopcami. Dziewczęta nie stawiały dużych wymagań towarzyszom siatkówki, spacerów we dwoje, wspólnego opalania się. Dwa razy nawet wybiegały poza teren obozu w nocy... Wydaje mi się, że dziewczęta aprobując nocne wyczyny młodych robotników włocławskich fabryk, którzy przyjeżdżali tłumnie do dziewcząt na teren obozu, opóźniają realizację Planu 6-letniego. Co mnie dziwi to to, że przeważająca część amatorek męskiego towarzystwa wyróżniała się, a nawet wybijała na pierwsze miejsce w pracy społecznej (zorganizowanie i wzorowe prowadzenie przedszkola dla dzieci wiejskich, przygotowanie dla ludności miejskiej szeregu ognisk na wysokim poziomie), sporcie (zdobycie pierwszego miejsca w siatkówce i lekkoatletyce) i pracy szkoleniowo-politycznej... Chuligańskim wybrykom na terenie obozu nie mógł przeciwdziałać żeński personel pedagogiczny, nie udało się zlikwidować nocnych odwiedzin do końca turnusu, choć przewodniczący miejskiego Koła ZMP urządzał raz po raz wyprawy karne a i milicja obiecywała wciąż pomoc."

List nauczycielki powinien zawierać inne nieco wnioski niż „karne wyprawy" ZMP i milicji. Zresztą — „poszukiwanie męskiego towarzystwa" nie zawsze musi być aż — chuligaństwem. Wydaje się, że w tym miejscu nasz przegląd korespondencji trzeba zakończyć zdaniem wyjętym z listu Alojzego Srogi:

„Zarówno ZMP jak i prasa (tu my, dziennikarze, winniśmy uderzyć się w piersi) niedostatecznie potrafi ukazać młodzieży perspektywy socjalizmu. Nie do każdego chłopaka czy dziewczyny przemawiają suche rzędy cyfr dotyczące zmiany sytuacji młodzieży. Nie zawsze potrafimy wydobyć patos naszego budownictwa, pokazać jego wielkość, jego „niezwykłość" tak poszukiwaną przez młodzież. A pokonamy chuligaństwo, jeśli potrafimy pokazać młodzieży niezwykłe czyny Kapuśniaka, Trycha, Frankowskiego".

(sk)

Brakoróbstwo opinii publicznej

Kiedy zapytałem, ile zarabiała dziennie przed wojną, powiedziała „pięćdziesiąt groszy, ale i to często z krzyżykiem". Po chwili byłem już wtajemniczony w sens tego dziwnego określenia. Po prostu rządca w obszarniczym majątku przy co drugim bez mała nazwisku na liście stawiał krzyżyk oznaczający, że ktoś pracował źle — powodowało to obniżkę zarobku o dziesięć groszy. Rząca otrzymywał swoistą parogroszową premię za owe krzyżyki, przynoszące dziedzicowi w ogólnym rachunku żniw spore „oszczędności".

Stałem obok obrabiarki, prowadzonej mądrą ręką rozmówczyni, jednej z 50 przeszkolonych tu przed rokiem robotnic. Było to już pod koniec dziennej wióczęgi po hali maszyn fabryki wyrabiającej części samochodowe. Patrzyłem na śmigające opiłki żelaza, ale nie byłem bynajmniej zadowolony z tego, co widziałem. Sprowadziła mnie wydrukowana przez jeden ze stołecznych dzienników korespondencja, mówiąca o złym stosunku majstrów do ludzi dopiero w toku pracy zdobywających kwalifikacje.

Lubię czytanie gazetowych korespondencji — tam spotykamy słowo najuczciwsze, przemawiające samą treścią. Za nieporadnością zdania domyślasz się niewprawnej często ręki prowadzącej pióro, jakieś słowo starte już przez gazetę na miazgę tu właśnie może zagrać całym blaskiem swej głębokiej, choć zatraconej w komunałach, mądrości. „Od tego miejsca, gdzie jest majster zły i opieki nie daje, kadry szybko płyną" — pisał autor owej korespondencji.

Czytałem wiele lukrowanych niedobrych reportaży. Sam wiem jak szybko życie odkrywa błędy powierzchownej obserwacji terenu i uproszczonego ujęcia tematu — zdarzyło mi się przecież stworzyć własnego bohatera pozytywnego rezydującego w areszcie za niepiękne sprawki już w miesiąc po wydrukowaniu reportażu. Błąd reportażu, to sprawa nie nowa, ale tu chodziło o autentyczną korespondencję.

Jaką robotę odwalili korespondenci robotniczy i chłopscy nie miejsce tu pisać. Niedawno drukowaliśmy na ten temat artykuł. Ambitnemu socjologowi polecam taki temat rozprawy magisterskiej, a ręczę, że i na pracę doktorską nie zbrakłoby materiału. Dobry korespondent to wspaniały frontowy żołnierz na froncie klasowej walki. Co tam zresztą dużo gadać, skoro lepiej powiedział to Majakowski:

Wróg jest liczny
przebiegły
i czelny,
ale w jarzmo
nas
już nie nagnie.
Twój ołówek
niż karabin celniej
razi
i przebija
mocniej niż bagnet.

Tym razem przyjechałem obejrzeć „bohatera negatywnego" opublikowanej korespondencji i nie znalazłem go! Nie to że go nie ma — jest (personalia się zgadzają), tylko pełni funkcję... pozytywnego. Moja rozmówczyni na dźwięk jego nazwiska uśmiecha się szeroko — to on nauczył ją — eks robotnicę rolną na pańskim — fachu, zapewniającego zarobek blisko tysiączłotowy. „Bez krzyżyka" — dodaję żegnając się w drodze ku następnemu informatorowi.

Szczepański? — ho-ho, najlepszy z naszych brygadzistów.

Coraz jaśniejszy staje się obraz sprawy. Widzę, że obok „lukrzycy", częstej choroby naszego reportażu, istnieje inny chorobotwórczy bakcyl, jakim może być w prasie niesprawdzona krytyka korespondenta.

Za każdą notatką dziennikarską stoi życie i każda prowadzi w życie z powrotem. Słowo naszej prasy jest wielkim pedagogiem naszego społeczeństwa. Tym groźniejsze jest brakoróbstwo w tej dziedzinie.

Uczeń napiętnowanego za niedbałość majstra zaczyna coś konspiracyjnie szeptać. Słowa jego z trudem dochodzą przez gwar maszyn... „Oho — myślę — nareszcie powie prawdę, tylko czemu krępował się przedtem z tym wyznaniem w obecności sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej?"

„Co takiego?" — pytam głośno, nadstawiając ucha.

„...Żeby mnie tylko przez te głupoty nie zabrali od mojego majstra" — powtarza, patrząc mi w twarz z wyrzutem.

Okazuje się, że cała sprawa wynikła z drobnej interwencji z prośbą o którą zwrócił się do Rady Zakładowej, gdy przy wypłacie stwierdził, że na jego konto, pod nieobecność będącego na urlopie majstra, zaliczono wszystkie wykryte przez kontrolę techniczną „braki" z całej partii towaru wykonanego przez siedmioosobową grupę. Błąd sprostowano na miejscu, ale jakiś energiczny choleryk z Rady Zakładowej napisał do gazety notatkę dyskwalifikującą nieobecnego majstra.

Jak najwybitniejszy nawet pisarz otrzymuje w wydawnictwie swego redaktora, tak najbliższy nawet życiu korespondent musi otrzymać go w gazecie. On to — ten właśnie „odpowiedzialny", choć nie podpisany — musi gwarantować, że nie będzie błędów w tworzeniu sądów o człowieku.

Idąc do wyjścia słyszę za sobą czyjś głos: towarzyszu dziennikarzu! Odwracam się powoli, wydaje mi się, że niosę oto bez własnej winy ciężar cudzej odpowiedzialności. Dopędza mnie sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej.

„Wy nie myślcie, towarzyszu, że u nas wszyscy by tak bez głowy z gazetą pracowali. Nasz towarzysz wysłał pod koniec tygodnia do was — do prasy — list w takiej sprawie... — zaczyna opowiadać. Ukradkiem wyjmuję notes i piszę: „zadzwonić do J., niech sprawdzają do licha". Ale sam czuję radość dzielonej z rozmówcą odpowiedzialności, do której przecież i on — odpowiedzialny za fabrykę się poczuwa.

Roman Bratny

Kto to jest bohater pozytywny?

Dokończenie ze str. 4-tej

podkreślić, że dobre odtworzenie postaci pojedynczych komunistów nie zadowala nas — trzeba aby Partia występowała jako organizacja, jako jedność woli i dążeń.

Temat partii, problem, jak stworzyć postać godną bolszewika, kierownika mas, z kolei prowadzi do zagadnienia, które nie może nie stanąć przed pisarzem — zagadnienia charakteru stosunków między ludźmi, nowej istoty społecznych związków w socjalistycznym społeczeństwie.

Przeciw ascetyzmowi

Ukazawszy socjalistycznego człowieka, pozbawionego wstrętnych i poniżających go, egoistycznych, małostkowych, konsumpcyjnych cech i poglądów, sztuka nasza powiedziała nowe słowo w rozwoju światowej sztuki.

Nasz ideał estetyczny skierowany jest nie tylko przeciwko burżuazyjno - idealistycznemu pojmowaniu człowieka. W postaci człowieka radzieckiego nie ma miejsca również na cechy moralności ascetycznej i ofiarnictwa.

W dużym stopniu umowne jest przeciwstawienie moralności egoistycznej, indywidualistycznej — moralności ascetycznej. Ani pierwsza, ani druga nie jest właściwa dla radzieckiego człowieka z jego organiczną, umocnioną przez dziesiątki lat panowania władzy radzieckiej, świadomością jedności spraw osobistych i społecznych. Ascetyzm — to przenicowany egoizm; oparty jest on na tym samym staro - inteligenckim, rozdmuchanym hypertroficznym postrzeganiu jednostki, przy którym jednostka staje się głównym kryterium przy rozwiązywaniu wszystkich ziemskich zagadnień. Przyjęte w burżuazyjnej literaturze pojmowanie zagadnienia ofiary jest pojmowaniem na wskroś burżuazyjno - indywidualistycznym. Jednostkę tutaj rozpatruje się nie jako uczestnika ruchu społecznego, lecz w oderwaniu i przeciwstawieniu jej całemu światu. Ofiarę ponosi się nie dla **sprawy**, lecz dla siebie; po to, ażeby okupić swoją duszę, „pocierpieć" w imię prawdy. Ofiarnictwo łączyło się z indywidualistycznym egocentryzmem. Oczywiście, w takim ustawieniu zagadnienia, ofiara rozpatrywana była nie jako moment walki, lecz jako środek do zaspokojenia indywidualnie pojmowanego poczucia obowiązku.

Taki stosunek do siebie i do walki o wspólną sprawę jest — rzecz jasna — obcy radzieckiemu człowiekowi, który na rzecz patrzy prosto i naturalnie, do walki idzie nieustraszenie, z optymizmem, a jeśli trzeba się poświęcić, robi to bez demonstracji...

Należy pamiętać o tym, że jeszcze w „Manifeście Komunistycznym" socjalizm utopijny nazwano reakcyjnym za jego ascetyzm i niwelatorstwo. Komunizm stawia sobie za zadanie stworzenie takiego społeczeństwa, w którym najlepsze wartości człowieka będą miały warunki pełnego rozwoju. J. W. Stalin pisał o rozmachu życia socjalistycznego jako celu naszej walki. W postępowej gazecie „Brdzoła" J. W. Stalin pisał przed 50 laty: „...Tylko rewolucyjny proletariat powołany jest przez historię do wyzwolenia ludzkości i przyniesienia światu szczęścia"*). Dogmat moralny sławiący jako dobrodziejstwo zubożenie człowieka, ograniczenie jego potrzeb, paraliżowanie jego uczuć i dążeń, jest obcy i wrogi ideologii ludzi radzieckich. Tylko socjalizm daje możliwość pełnego i prawdziwego rozwoju jednostki.

Schematyzm i jednostronność w przedstawianiu bohaterów prowadzą do stworzenia płaskich i ubogich moralnie bohaterów, co przeszkadza w widzeniu całej pełni życia. Przezwyciężenie estetyki ascetyzmu jest jedną z głównych cech realizmu socjalistycznego.

Wydaje się, że najistotniejszym **przeżytkiem** ascetyzmu jest w tej chwili jednostronne i zubożone przedstawianie człowieka. Jesteśmy przeciwni taniemu melodramatowi mieszczańskiemu, rodzinno - sentymentalnym powiastkom, ale uważamy, że wszystkie strony życia radzieckiego człowieka mają prawo znaleźć odbicie w sztuce. Bogactwo moralne i piękno charakteru człowieka radzieckiego przejawiają się także w jego stosunku do towarzyszy, do ukochanej żony, do dzieci.

Zagadnienie przezwyciężenia indywidualizmu i ascetyzmu, stworzenia pełnokrwistych, pełnowartościowych postaci człowieka radzieckiego jest w dużym stopniu zagadnieniem siły i głębi oddziaływania literatury.

Borys Riurikow
przekład **tdr**

Fragmenty rozprawy p. t. „O niektórych zagadnieniach realizmu socjalistycznego", opublikowanej w n-rze 4/52 miesięcznika „Nowyj mir". Tytuł artykułu i podtytuły pochodzą od redakcji.

*) J. W. Stalin, Dzieła, wyd. polskie, t. I, str. 25.

DENCJA

CO DAJE BIBLIOTEKARZOWI CZYTANIE RECENZJI LITERACKICH?

Na łamach czasopism społeczno-literackich, jak np. „Nowa Kultura" czy „Wieś" (które znajdują się w naszej Bibliotece Gminnej w Włoszakowicach) ukazują się nieomal regularnie recenzje literackie. Był czas kiedy nie zwracałem na nie uwagi, obecnie jednak czytam każdy artykuł krytyczny niezależnie od tego, czy recenzowana książka jest w naszej bibliotece, czy też jej nie ma. Skłoniła mnie do tego prosta ciekawość poznania omawianych książek, poznanie ich walorów i błędów, jednym słowem poznania prawdy o danej książce. Tym bardziej że ocena jednych i tych samych książek wypada dość często odmiennie. Na przykład na okładce nowowydanej książki Z Dróżdż-Satanowskiej, „Opowieść wierzbowa" zamieszczona jest krótka ocena, w której zakończeniu czytamy: „Opowieść wierzbowa", wzruszająca i prosta książka, stanowi ciekawą i cenną pozycję w naszej nowej literaturze wiejskiej". Zaś w recenzji Zofii Szprokoff („Nowa Kultura" nr 28(52) znajdujemy szereg zarzutów przeciw tej powieści, które autorka krytyki rozpoczyna zdaniem: „Niestety na „Opowieści wierzbowej" ciąży szereg błędów znamiennych dla naszej powieści o tematyce współczesnej". Podobnie rzecz ma się z powieścią Niziurskiego „Gorące dni" Recenzja napisana w pewnym dzienniku a ostatnio w „Poradniku Bibliotekarza" nr 6/52 wypada zupełnie odmiennie, niż w recenzji Tadeusza Muraszka („Wieś" nr 27/52). W zakończeniu recenzji w „Poradniku" czytamy: „Książka Niziurskiego to jedna z najbardziej pasjonujących powieści o problematyce wiejskiej". Muraszka natomiast w zakończeniu mówi tak: „...W r. 1949. nawet jeszcze w 1950. powieść Niziurskiego byłaby rewelacją. Dziś nasuwa się zarzut, że autor nie dość uważnie przeanalizował twórczość swoich kolegów, nie dość płodne wnioski wyciągnął z ich potknięć i błędów".

Jak widać, szukanie „prawdy o książce" nie jest bynajmniej sprawą łatwą, zwłaszcza że w grę wchodzi jeszcze jedna ocena — może najważniejsza — opinia. odbiorcy. I tu właśnie dochodzimy do rzeczy najważniejszej: działacz oświatowy, bibliotekarz, musi odróżnić właściwą, twórczą ocenę od powierzchownej i jednostronnej. Pozwoli mu to na podjęcie właściwych posunięć w swej społeczno-wychowawczej robocie. Dość często zdarza się przecież, że do biblioteki przychodzi czytelnik, który wypowiada opinię o książce. Bibliotekarz, który nie ma wyrobionych pojęć krytycznych (choćby nawet znał treść danej książki), nie potrafi odpowiedzieć, czy czytelnik ma rację, czy nie.

Skoro już mowa o księgozbiorze, muszę dodać, iż w naszej Bibliotece Gminnej jest mało książek recenzowanych przez pisma kulturalno-literackie. Książki z centralnego zakupu nadsyłane są z opóźnieniem; nieraz, w długi czas po ukazaniu się recenzji. Ogólnie trzeba stwierdzić, iż spośród zrecenzowanych książek nie nadesłano nam dotąd właśnie tych uznanych za najwartościowsze, za najbliższe ideału pełnowartościowej, dobrej książki. Np. Stryjkowskiego „Bieg do Fragala", Newerly'ego „Pamiątka z celulozy", Czeszki „Pokolenie", Marca „Słońce wschodzi", Orla „Pod Łysicą" itd.

Jedną z form umożliwiającą działaczowi oświatowemu, bibliotekarzowi zdobycie umiejętności odróżnienia książki dobrej od słabej jest właśnie uważne czytanie krytyk literackich. Zachęcam do tego wszystkich bibliotekarzy w naszym kraju.

A. Kowol-Marcinek

Za sztambucha bikiniarza

„Utrzymująca się od dwóch lat moda na kobiałki dowodzi świetnego smaku plastycznego Polek. Jest w tym jakaś pełna esprit, wikliniarska kokieteria, nawiązująca do tradycji Czerwonego Kapturka, starej piosenki „Poszła Jadwiga na rydze" i słynnej wyprawy Aliny i Balladyny do lasu, zakończonej — jak wiadomo — dość tragicznie. Zgrabny koszyczek zamiast skórzanej torby jest niezwykle udaną stylizacją, rodzajem galanteryjnej metafory. Koszyczek taki, umiejętnie trzymany, nadaje ogromny wdzięk gestu kobiecej postaci i dlatego chwalę rozgłośnie tę modę."...

...Cała zawartość plaży odnajduje się w restauracji, gdzie szaleje brydż. Grają wszyscy: panie w przedbalzakowskim wieku, ojcowie rodzin, młode mężatki, młodzi chłopcy, o napompowanych siłą brązowych ramionach, mówią młodym dziewczętom o smukłych kibiciach w kolorowych kostiumach jedynie o pikach, treflach, kontrze i renonsach. Przypominają się książki Magdaleny Samozwaniec o przedwojennej Juracie — „Maleńkie karo karmiła mi żona" i „Wielki szlem"...

...Wieczór w Domu Zdrojowym z barwną grupą plastyków krakowskich. Saksofony niewielkiej ekipy tanecznej braci Łopatowskich rozsiewają rytmiczne samby, kongi i maniany. Urzędnikom administracyjnym z Lublina i dentystom z Katowic wydaje się naraz, jakby le large za wydma, za helskimi sosnami, zbliżało ich do Bermudów, Kub i Martynik. Tańce na parkiecie i rozmowa przy stoliku nabierają tu połysków nadzwyczajności, po którą nie darmo jedzie się tyle godzin koleją z dalekiej głębi kraju..."

Leopold Tyrmand
„Zatoka dobrych kąpieli", „Tygodnik powszechny" nr. 32.

nożyce

List z terenu

Ob. J. Minkiewiczowi w odpowiedzi na wiersz pt. „Uwaga" (Nowa Kultura z dn. 6.VII. br.)

Gdy nowe, lepsze rośnie w trudzie...
Gdy nowa pieśń ogarnia ziemię...
Gdy wraz z domami rosną ludzie...
— Tematy warte strof poety,
Lecz nie podjęte, bo niestety
Poeta drzemie!

Slogany złe dostrzega w prasie,
Że złe slogany każdy nierad.
Skoro on na sloganach zna się
Niech grafomanom stawi czoło,
By nie mówili wszyscy w koło,
Że śpi literat.

J. Dębski
Miłocice p. Oleśnica

TADEUSZ KUBIAK

O pewnym dorożkarzu

Przez całą drogę udawał słowika
Tkliwość, że ledwo ją w sercu pomieścisz.
Biczyskiem księżyc wskazywał — liryka!
Wreszcie przemówił: „Kurs — złotych trzydzieści".

WITOLD EDWARD GAWDZIK

Osioł i Kartezjusz

Motto: „Cogito ergo sum"
(Kartezjusz)

— Co tam Kartezjusz — rzekł osioł z lekceważącym gestem:
— On myślał i już go nie ma — a ja nie myślę
i jestem!

Wół i pies

Wół stary pośrodku podwórka
napotkał Burka.

Kundel, jak zawsze, ponury:
— Cóż — warknął — byku jeden,
spoglądasz tak z góry?!

— Hm — sapnął wołek
do pieska młokosa —
A ty, patrząc na mnie —
nie zadzierasz nosa ...?

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Portreciki piórkiem

Janusz Minkiewicz

Chęć zarobków prosta, szczera
Czyni zeń konferansjera.

Paweł Herz

Nie zgnieciesz go, jest twardy i gładki jak dykta,
i dumny, chociaż nie jest krewnym Benedykta.

LESZEK HERDEGEN

Prawdziwy krytyk cnoty się nie boi

KRYTYCY O NOWEJ POWIEŚCI MIECZYSŁAWA TRZMIELOCHA

MELANIA KIERCZYŃSKA
(z artykułu p.t. „O niektórych przesłankach")

W pracy „Dyskusja filozoficzna a zagadnienie estetyki" prof. B. Mejłach stwierdza: „Estetyka i gnoseologia są ze sobą ściśle powiązane". Jak więc na tym tle rysują się wartości prozy młodziutkiego Mieczysława Trzmielocha? Jasno.

ANDRZEJ KIJOWSKI

Książki Zbigniewa Trzmielochowskiego nie czytałem, mogę więc o niej śmiało pomówić z Czytelnikiem. Oto na stronie 37 autor podobno stwierdza: „Podniósł młotek". Jakżesz to płytkie i pozbawione treści intelektualnej sformułowanie! Nie, przepraszam. Cytat pochodzi ze strony 237. Na stronie 37 natomiast Trzmielochowicz kreśli chyba z żarliwą pasją pełnię psychiczną bohatera: „Staszek zamyślił się". W dobie walki o psychologię pozytywnego bohatera odwaga autora zasługuje wprawdzie na uznanie, ale komplikacja rysunku psychologicznego budzić musi pewne zastrzeżenia.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Opowiadania Trzmielocha odznaczone zostały w roku ubiegłym Nagrodą Państwową. Oczywiste więc, że nową powieść tego autora uznać należy za osiągnięcie dużej miary, godne uwagi i sumienności bezstronnego krytyka. Krytyk oceniający dzieło literackie musi przyznać, że w wypadku Trzmielocha Nagroda Państwowa trafiła we właściwe ręce. Jego opowiadania są zwarte, jędrne i dobre. Kompozycja dobra. Styl też dobry.

HENRYK MARKIEWICZ

(„fragment pracy „U źródeł realizmu krytycznego w realizmie socjalistycznym").

Twórczość artystyczną Aleksandra Głowackiego (pseudonim literacki: Bolesław Prus) rozpoczynają humorystyczne i rozrywkowe wiersze, opowiadania i obrazki obyczajowe, umieszczane w „Kolcach", „Musze", „Kurierze Warszawskim" i różnych kalendarzach od r. 1873. Istotną szkołą realizmu była jednak dla niego publicystyka. Publicystyka artykułowa wymagała od Prusa wyczucia aktualności problemów społecznych, intelektualnego ich opanowania, i ideologicznej oceny — słowem zalet, które obserwujemy też w twórczości Trzmielocha. Prus (podobnie zresztą jak Trzmieloch) nie zrywając z ideologią mieszczaństwa nie mógł oczywiście wyciągnąć ze swych rozczarowań — wniosków antykapitalistycznych.

LUDWIK FLASZEN

Dociekliwy realizm szczegółu w powieści Trzmielocha Mieczysława służy również często precyzji wyrazowej dokonanej z odskoczni ideologicznej — ba! — mistycznej nawet. Tak, mistycznej! przykładem niechaj nam służy wątek gumki „Myszka" zręcznie przez autora rozprowadzony na warstwie spiętrzonych, a jednak gładkich wydarzeń, kiedy to piękna, żółciutka gumka, znana nam tak dobrze z niedawnych lekcji rysunków w szkole powszechnej, odgrywa rolę katalizatora w konfliktach trudnych i to nie tylko trudnych — w konfliktach wystopniowanych aż do granic wytrzymałości percepcyjnej czytelnika i to nie tylko w konfliktach wystopniowanych aż do granic wytrzymałości percepcyjnej czytelnika, ale w konfliktach drgających ruchem — ba! — kinetycznym.

JAN KOTT

W marcu 1948 roku kupowałem u bukinisty nad Sekwaną tomik przedwojennych wierszy Trzmielocha i krocząc potem przez Avenue de l'Opera myślałem o wspaniałej twórczości poetyckiej Marii Dąbrowskiej, o delikatnym kolorycie i wyrafinowanym smaku francuskiego rokoka, które ją wydało. Mijając Pałac Dożów i Statuę Wolności, które tak wyraziście rysowały się na tle błękitnego nieba ojczyzny Diderota i Voltaire'a — smakowałem lirykę Trzmielocha. Diderot też pisał powieści! I to jakie. „Ludzie bezdomni", „Potop". A czy to nie on w „Powrocie posła" nawiązał do wypadków pierwszego na świecie zjazdu manufakturzystów w IX wieku? Tak, pamiętam...

Witam nową prozę: mądre i wykwintne strofy Mieczysława Trzmielocha.

GRZEGORZ LASOTA

(fragment rękopisu artykułu p.t. „Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą").

Co to jest walka klasowa? Trudno odpowiedzieć. Faktem jest natomiast, że toczy się na każdym etapie tego, co nazywamy historią. „HISTORIA TO WALKA" — jak się raz wyraził klasyk realizmu socjalistycznego, Andrzej Mandalian. Na tle tej koniecznej dla czytelnika podbudowy teoretycznej rozpatrzmy prozę Trzmielocha. Uwypukla się ona jako dokument tej walki. Walki, która toczy się z całą ostrością. Na każdym etapie. Etapie. (Podobne zjawisko obserwujemy w dziele wybitnej naszej twórczyni Anieli Staniątko).

Z TYGODNIA

W KRAJU

WE WSI SZAFARNIA, W KTÓREJ CHOPIN PRZEBYWAŁ W LATACH 1824 i 1825

zostanie otwarta stała wystawa pamiątek chopinowskich, zorganizowana przez Tow. im. Fryderyka Chopina. W tym samym dniu odbędą się w Szafarni i Rypinie koncerty chopinowskie z udziałem Haliny Czerny-Stefańskiej. W koncercie popularnym w Rypinie wystąpią zespoły świetlicowe oraz Pomorska Orkiestra Symfoniczna z Bydgoszczy.

PRACĘ „O MARKSISTOWSKIEJ TEORII LITERATURY"

pióra Henryka Markiewicza zawierającą próbę marksistowskiego ujęcia twórczości literackiej — wydało ostatnio „Ossolineum". Do innych ciekawych pozycji wydanych nakładem „Ossolineum" zaliczyć należy Antologię polskiej poezji świeckiej XIV — XV wieku w oprac. Vrtel-Wierczyńskiego oraz „Humoreski z teki Worszyłły" Henryka Sienkiewicza.

MIANO REPREZENTACYJNEGO CHÓRU ZW. ZAW. GÓRNIKÓW

przyznano uchwałą Sekretariatu CRZZ amatorskiemu chórowi z Siemianowic za osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia pieśni ludowych i masowych. W skład zespołu wchodzi 97 robotników i pracowników administracyjnych przemysłu węglowego. Kieruje chórem dyrygent Piotr Dziemba, solistami są: inżynier-górnik Karol Latoska oraz E. Zubrzanka. W repertuarze chóru znajdują się już 142 pozycje 90 kompozytorów. W ciągu 3 lat działalności zespół wystąpił z 280 koncertami, których wysłuchało ponad 3 miliony widzów. Ostatnio zespół został zaproszony na występy do Bułgarii.

PRZEBUDOWA WIEŻY ZAMKU PIASTOWSKIEGO W OPOLU

rozpocznie się w przyszłym roku. Obecnie odkopywane są fundamenty zamku. Rekonstrukcja wieży prowadzona będzie w oparciu o oryginalne sztychy z XVI wieku oraz freski znajdujące się w starym kościele franciszkańskim w Opolu.

W Nysie zakończono w sierpniu odbudowę dwu sal renesansowych w kolegium jezuickim, tzw. Karolinium, w którym uczyli się Michał Korybut-Wiśniowiecki i Jan Sobieski.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI I LEON KRUCZKOWSKI

wzięli udział w wieczorze literackim zorganizowanym dla robotników i chłopów z Koszalina i okolic. Program wieczoru: wiersze Broniewskiego recytowane przez autora oraz dyskusja nad sztuką Kruczkowskiego „Niemcy".

KLUB LITERACKI W BIAŁYMSTOKU

powstał niedawno z inicjatywy Zw. Literatów Polskich. Klub będzie organizował wieczory autorskie, dyskusje literackie, dyskusje o filmach i dramaturgii. Działalność Klubu rozpoczął wieczór dyskusyjny, poświęcony omówieniu rozwoju kulturalnego Białostocczyzny w okresie powojennym.

SZTUKĘ O SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ

„Kąkol i pszenica" przygotował na otwarcie sezonu jesiennego Państwowy Teatr Ludowy w Warszawie. Autorem sztuki jest Tadeusz Łomnicki, z zawodu aktor — będzie on grać w niej jedną z głównych ról.

FILM O MŁODYCH PRZODOWNIKACH PRACY

pt. „Młodzi towarzysze" przygotowują absolwenci PWSF w Łodzi. Grają w tym filmie również młodzi aktorzy — studenci wyższych szkół artystycznych. Nad stroną literacką filmu czuwa B. Czeszko; nad reżyserią — A. Bohdziewicz; nad pracą młodych operatorów — A. Ancuta. Zdjęcia rozpoczęły się w końcu lipca br. w Nowej Hucie.

FILMOWA ADAPTACJA „PIĄTKI Z ULICY BARSKIEJ"

jest już w przygotowaniu. We wrześniu rozpoczną się zdjęcia do filmu, którego scenariusz został napisany wg. odznaczonej Nagrodą Państwową powieści K. Koźniewskiego.

ZBLIŻA SIĘ 70-TA ROCZNICA POWSTANIA „PROLETARIATU"

— w warszawskim Muzeum Narodowym toczą się przygotowania do otwarcia wystawy pn. „Wielki Proletariat" (otwarcie wystawy nastąpi w pierwszych dniach września). Na wystawie znajdą się m. in. dokumentami wydawane przez partię broszury, odezwy i prasa. Ponadto będą wystawione obrazy i rysunki współczesnych polskich plastyków, związane tematycznie z działalnością „Proletariatu".

W SALI GDZIE CHOPIN DAŁ DWA KONCERTY W SIERPNIU 1826 R.

podczas swego pobytu w Duszniku — została otwarta 16 bm. wystawa poświęcona życiu i twórczości wielkiego artysty. Obejmuje ona m. in. fotografie rękopisów, faksymile autografów oraz reprodukcje pochodzących z tego okresu prac malarskich, rzeźbiarskich i graficznych. Wystawę otwarto w związku z VII Festiwalem Chopinowskim.

SZTUKĘ H. AUDERSKIEJ „ZBIEGOWIE"

wystawił w Warszawie Teatr im. Stefana Jaracza — „Ateneum". 13.IX w „Ateneum" przewidziana jest premiera nowej sztuki L. Lutowskiego o tematyce współczesnej pt. „Rodzinna sprawa".

ZA GRANICĄ

CYKL WIERSZY POŚWIĘCONYCH POLSCE

napisał ostatnio wybitny poeta gruziński Simon Czikowani. Wśród wierszy powstałych po pobycie poety w Polsce wyróżniają się m. in.: „Dom Lenina w Krakowie", „Wieś Chopina", „Brzoza" oraz „Puszkin i Mickiewicz".

RĘCZNIE PISANE DZIEŁA AVICENNY

w tym „Księga Donisznoma" („Księga Nauk") w języku tadżyckim — wystawione zostały wśród innych eksponatów na otwartej w miesiącach letnich wystawie w stolicy Tadżykistanu, Stalinabadzie.

MIESZKAŃCY KISZŁAKU W POBLIŻU BUCHARY

gdzie urodził się 1000 lat temu Avicenna uczcili rocznicę urodzin wielkiego uczonego tadżyckiego nowymi osiągnięciami w życiu gospodarczym i kulturalnym. W rejonie Pieszkuskim otwarto m. in. nową szkołę średnią, nadając jej imię Avicenny.

KSIĄŻKA O MARKU TWAIN'IE

wybitnego krytyka radzieckiego, Marii Bobrowej — ukazała się w Moskwie. Praca ta charakteryzuje twórczość wybitnego pisarza amerykańskiego i wskazuje na jego wielką popularność wśród czytelników radzieckich. Dzieła Twaina ukazały się w 24 językach narodów ZSRR w łącznym nakładzie 4,8 miliona egz.

DWIE POWIEŚCI KRASZEWSKIEGO

„Brühl" i „Hrabina Cosel" przygotowane są do druku w języku niemieckim przez wydawnictwo „Greifen Rudolfstadt".

POWIEŚĆ „WĘGIEL" ŚCIBORA-RYLSKIEGO

została wydana w Austrii przez „Stern-Verlag".

„PIERWSZY CIOS"

powieść — odznaczona Nagrodą Stalinowską 1951 r. — ukazała się w języku rosyjskim w nakładzie 500 tys. egz.

AŻ DO WSI TUŁON OBWODU IRKUCKIEGO

zawędrowała ruchoma wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby, zorganizowana przez Komitet do Spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR. Na wystawie zgromadzono ok. 200 prac najwybitniejszych plastyków radzieckich, m. in. Wasiljewa i art. rzeźbiarki Muchiny.

Nowość

GUSTAW KADEN

NA MARGINESIE WIELKIEJ POLITYKI

(Zbiór felietonów)

Str. 170 zł 8.10

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Przegląd prasy zagranicznej

Testament Hansa Fallady

W związku z przekładem na francuski i angielski dwóch ostatnich powieści Fallady, prasa zagraniczna przypomina charakterystyczny los tego pisarza. Jego powieść „I cóż dalej szary człowieku" była obok „Na Zachodzie bez zmian" Remarque'a drugim wielkim sukcesem światowej literatury niemieckiej epoki przed-hitlerowskiej. Utwór ten jest dokumentem „walki o duszę drobnomieszczanina", rozgorzałej w Niemczech tuż przed triumfem faszyzmu. Powieść Fallady odpowiada społecznemu zjawisku rzekomej „nowej klasy", dyskutowanemu przez socjologów Zachodu w latach 1930-ych. Z okresu tego pochodzi głośny artykuł ekonomisty londyńskiego D. H. Cole'a, „Czy Marks miał rację?". Cole przypomina, że Marks przewidywał stopniowe powiększanie się rozdziału między proletariatem i wielkim kapitałem, przez pochłanianie małych przedsiębiorstw przez trusty, tak że w pewnym momencie pozostaną tylko olbrzymie koncerny i szerokie rzesze robotników. Tymczasem, zdaniem Cole'a, rozwój techniki wytworzył nową, niezmiernie liczną w Niemczech i Anglii grupę „małych zawodów", drobnych przedsiębiorców żyjących z obsługi aparatów radiowych, hydraulicznych, motorów itp. licznych ułatwień stworzonych przez nowoczesną wiedzę praktyczną.

Okazało się wkrótce, że Marks jednak „miał rację". „Nowa klasa" okazała się po prostu mieszczaństwem, na którym oparł się Hitler w wyborach roku 1933; właśnie głosy „kleiner Mannów" oraz zamożnego chłopstwa umocniły w Niemczech rządy faszyzmu i wielkich koncernów, które wkrótce zorganizowały krucjatę zbrojną przeciwko proletariatowi.

Jednakże w roku 1930-ym pozycja owego „małego człowieczka" mogła się wydawać niepewna. W okresie tym literatura niemiecka walczy o jego przekonania. Głośna wówczas była sztuka Kellera „Die Mausefalle" („Pułapka"), grana przez komunistyczny zespół „Kleines Theater". Bohaterem jej był „proletariusz w sztywnym kołnierzyku", drobny urzędnik, marzący by się stać mieszczaninem: hoduje on araukarie i złote rybki, czyta burżuazyjnych klasyków, olbrzymim wysiłkiem finansowym sprawia sobie modne spodnie „z czarnej gabardiny". Ale zostaje zredukowany, dostaje się w potworny, anty-humanitarny mechanizm wielkiej fabryki obuwia „Taba" (anagram do „Bata"), i z chwilą gdy uświadamia sobie, że od lat jest ofiarą wyzysku, budzi się w nim solidarność z klasą, do której właściwie należy, z proletariatem.

Podobny stan ducha odtwarza Fallada, z tą różnicą, że jego bohater nie jest zdolny do powzięcia decyzji. Smutek, beznadziejność, bezwyjściowość, mała i żałosna rozterka, stają się losem „szarego człowieka". Brecht powiedział o pisarzach takich jak Fallada, że wytworzony przez nich nastrój bezkierunkowego przygnębienia ułatwił zwycięstwo Hitlerowi, który „zdyskontował" owo niezadowolenie drobnych mieszczan i poprowadził ich ku nacjonalistycznemu „przebudzeniu" (sławetne „Deutschland erwache"). E. E. Dwingera, podobnego pisarza pesymistycznego, który potem przystał do brunatnych koszul, Brecht wręcz nazywa „Janem Chrzcicielem faszyzmu".

Inny był los Fallady — mimo że hitlerowcy wykorzystywali w propagandzie rozgłos jego książki, on sam należał do „emigracji wewnętrznej", wycofał się na wieś i odmówił akcesu do „narodowego związku pisarzy". Dopiero we wrześniu 1944 roku, w przeddzień klęski, napisał, w ciągu trzech tygodni, powieść „Der Trinker", obecnie wydaną w przekładzie francuskim i angielskim*). Jej bohater, pan Sommer, właściciel kwitnącego sklepu spożywczego w małym niemieckim miasteczku, umiarkowanie szczęśliwy w pożyciu z żoną serdeczną choć władczą, zaczyna nagle pić: jego zakład zmierza ku ruinie, on sam pogrąża się w deliryczne szaleństwo. Treść powieści, to dokładny i posępny opis stopniowej degrengolady bohatera.

Książka Fallady jest przygnębiającym dokumentem psychicznej dezercji. Tak wygląda testament głośnego pisarza: jego „kleiner Mann" znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co w roku 1933, z tą odmianą, że ogłusza się on narkomanią, która go stopniowo zabija. „Jeśli książka Fallady odpowiada nastrojowi niemieckiego mieszczanina powojennego, tak jak powieść „I cóż dalej, szary człowieku" odtwarzała jego stan ducha przed Hitlerem — pisze jeden ze sprawozdawców („Times Litt. Supplement") — świadczyłoby to, że ów niezadowolony mały Niemiec jest wciąż „do wzięcia" przez faszyzm, tyle że bardziej rozwścieczony.

*) Po polsku wyszła jego powieść „Każdy umiera w samotności", napisana tuż przed śmiercią Fallady w 1947 roku, podejmująca temat oporu przeciwko hitleryzmowi. „Der Trinker", mimo że pochodzi z roku 1944, na życzenie autora ukazał się dopiero po wojnie.

Kanada pachnąca comicsami

Paryska „Kultura" zamieściła artykuł Zbigniewa Abdanka pt. „Jednak wracam z Kanady". Czytamy w nim: „W jednym z największych i najbogatszych miast prerii gdzie pracowałem, było na 130.000 mieszkańców czternaście kin, ani jednej księgarni, a tylko po kilka półek „bestsellerów" w trzech domach towarowych i — a zadałem sobie trud liczenia — 177 tygodników kryminalno - awanturniczo-romansowych do nabycia w kilkudziesięciu kioskach i sklepach. W tychże kioskach nabyć można niezliczoną ilość tzw. „comicsów", to jest komentowanych rysunków dla dzieci, połykanych jednak przez dorosłych w nieprawdopodobnych ilościach.

W dalszym ciągu swych melancholijnych rozważań autor artykułu — widocznie klepiący biedę — omawia szeroko rolę pieniądza. Oto jego słowa:

„Tu gdzie się wszystko ciągle rusza i zmienia, rozumie się i uznaje wszystko, z wyjątkiem tego, iż powodem jakiejkolwiek decyzji życiowej mogłoby być coś innego jak pieniądz. Tego że nie lubisz jakiegoś zawodu, miasta czy klimatu, gotów jesteś zarabiać mniej byle inaczej czy gdzie indziej, nikt nie zrozumie. Przecież stracisz tyle a tyle dolarów! Jeżeli powiesz, że nie o to chodzi, jesteś skończony. Na niczyją pomoc ani przyjaźń liczyć więcej nie możesz. Obraziłeś, odrzuciłeś to, co jest podstawą i celem życia: pieniądz. W codziennej lekturze comicsów, w codziennym kinie, wszystko co nie jest romansem, sprowadza się do walki o pieniądz. I znowu te wszystkie rozmowy, lektury, widowiska uczą, że tylko pieniądz daje komfort, wygodę, przyjemność".

Autor artykułu mówi w tytule o tym, że wyjeżdża z Kanady. Jeżeli wyjedzie do Francji np. to prawdopodobnie wkrótce opublikuje nowy artykuł „Jednak wracam z Francji" (z Francji emigrant może wyjechać do Australii np) a tam znów jest materiał do artykułu „Jednak wracam z Australii" i — da capo.

„Kocur na śniegu"

„Ce Soir" publikuje „un grand récit d'aventures" (wielka powieść z przygodami) pod efektownym tytułem „Kocur na śniegu" („Le matou dans la neige") — (jest to hasło szyfrowe). Autorem jest wybitna dziennikarka lewicowa, Dominique Desanti, która ostatnio wywołała sensację swymi felietonami o „kulisach handlowych" Tour de France, wielkiego dorocznego biegu rowerowego dookoła Francji, finansowanego po cichu przez wielkie firmy przemysłu gumowego, napojów gazowych itd.

Powieść felietonowa, traktowana przez autorkę pół - żartobliwie, pisana dla zabawy, przypomina naszego „Wicka i Wacka" z „Expressu"; dla nas jest ciekawa ze względu na tło polskie, przedstawione sympatycznie, choć z celowo zamierzoną naiwnością.

„Generał Bernard — czytamy w streszczeniu jednego z odcinków — bohater wojny hiszpańskiej i polskiego Ruchu Oporu (aluzja do Waltera? — przyp. nasz) zostaje zamordowany w polu nocą, przez paru uzbrojonych mężczyzn, którzy zostawiają na miejscu zbrodni rękawiczkę skórzaną, wyrobu nowojorskiego, hitlerowski krzyż żelazny, i list zapowiadający zamach, podpisany rysunkiem wyobrażającym kwiat".

„W tym samym czasie, na terenie Polski i Rumunii odbywają się podobne zamachy. Michał Luca, przedstawiciel rządu rumuńskiego, podejrzewa dwóch Amerykanów, Callaghana i Tomasza Snow, o organizowanie sabotaży, ale nie może dostarczyć dowodu. Podczas śledztwa dowiaduje się o śmierci swej matki. Gdy wraca do domu przez las, zostaje napadnięty przez tajemniczego nieznajomego, zrzuconego na spadochronie. Udaje mu się jednak obronić".

„Tymczasem Amerykanka Daisy Chair i pewien Anglik, publikują uwłaczające „sensacyjne reportaże" o Polsce. Minister Informacji **Władisław Belski**, stykając się z nimi w Warszawie, dowiaduje się od nich o swojej dawnej przyjaciółce, malarce Annie Laurence, którą kiedyś kochał, przebywającej teraz w Paryżu. Mimo ich życzliwości, Belski powziął pewne podejrzenia. Jednocześnie minister rolnictwa ucieka z Warszawy przez zieloną granicę".

„Bandyci zostają aresztowani i wyznają, że działają na rozkaz generała Andersa, związanego z agenturami zachodnimi"...

„W Rumunii trwają jednak sabotaże na terenie naftowym".. itd itd. Ten żywo napisany romans kończy się wreszcie wykryciem ogromnej sieci szpiegowskiej, zorganizowanej przez Amerykanów na terenie Polski, Rumunii i demokracji ludowych.

Kl.

UKAZAŁ SIĘ

BIULETYN ŻYDOWSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO Nr 1 (3)

(styczeń — czerwiec 1952 r.)

W treści:

A. Peczorski: Powstanie w Sobiborze
E. Ringelblum: Notatki z getta warszawskiego (luty — maj 1941 r.)
T. Brustin — Berenstein: Deportacje i zagłada skupisk żydowskich w dystrykcie warszawskim.
A. Nirensztajn: Ruch oporu Żydów w Krakowie pod okupacją hitlerowską.
J. Sandel: Samuel Hirszenberg.

Stronic 223 cena zł 2.—

Do nabycia w kioskach „Ruch" i w Żydowskim Instytucie Historycznym (Warszawa, Al. Świerczewskiego 79).

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".

Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.— Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5 A-B-24271